TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 42 (190.
Łódź, 22. X. 1961 r.
Cena 1 zł

odgłosy

ANNA CIEPIELEWSKA jako Marta w filmie A. Munka „Pasażerka"

Fot. W. Rozmysłowicz

wolna GHANA
AKKRA

MIROSŁAW AZEMBSKI

JUJU czyli czarownik w MERCEDESIE

Tygiel wierzeń i obyczajów. — Nagie tancerki. — Święte małpiszony. — Ghanejski Janosik. — Chrześcijaństwo czyli sekty i sekciki. — Kiedy znikną fetysz i talizman.

Ghanejczyk

Juju-man, inaczej czarownik, wsiada do Mercedesa, model 1960. Wraca właśnie ze spotkania z przedstawicielem pewnej partii politycznej. Obwieszony jest talizmanami w postaci zębów, metalowych krążków, skórzanych torebek z bardzo tajemniczą już zawartością. Nogą obutą w plastikowy sandał naciska starter samochodu. Strzepuje ze swojej wzorzystej togi okruszyny jajek, którymi przed chwilą obsypał owego działacza, błogosławiąc w ten sposób jego poczynania i jego program polityczny. Zapala papierosa marki „Players", do której przyzwyczaił się od lat. Jest to papieros dobry, wobec czego nie siedzi w nim na pewno żadne juju, żaden złośliwy duszek, który mógłby zaszkodzić zdrowiu. Radio rozgrzało się i już gra. Mercedes rusza.

Czy taki obrażek uznać można za prawdopodobny? Ależ jest on nie tylko prawdopodobny, lecz prawdziwy, powtarzający się w dziesiątkach, może setkach wypadków! Sklasyfikowanie podobnej sceny jako „niezdrowo egzotycznej" lub poniżającej Afrykanów" świadczyłoby tylko o obskurantyzmie Europejczyka, który by o taką ocenę się pokusił. Afryka jest Afryką i obok swoich osiągnięć w walce o postępową myśl, posiada swoją magię — tak samo zresztą jak... Europa. Gdy Livingstone przedarłszy się przez najdziksze puszcze dotarł wreszcie do Angoli, zaprowadził swoich zwerbowanych w dalekim interiorze tragarzy do katolickiego kościoła w Loandzie. Po nabożeństwie usłyszał ich szepty: „Teraz wiemy, jak bili ludzie zaklinają swoich szatanów".

Bez komentarzy.

* * *

Akra, miasto gwałtownych przypływów imigracyjnych, siła rzeczy musiała stać się tyglem, w którym bulgoce

Dalszy ciąg na str. 5

KRZYSZTOF POGORZELEC

RYCERZE ZIELONEJ ŚCIEŻKI

Z modą jest tak jak z epidemią: pojawia się nie wiadomo skąd i zaczyna dyktować swoje twarde prawa.

I — biada tym, którzy je sobie lekceważą! Infamia społeczna, towarzyska, banicja ze znajomej „czwórki" od czwartkowego roberka — to tylko niektóre klęski!

Więc — naród „jeździ". Autokarami, pociągami, a ostatnio również per pedes apostolorum. Pojedynczo i zbiorowo: do Bługarii, Jugosławii, po słońce do Złotych Piasków, nie tyle żółwie co... po skórki z Nesseberu. Czasami jednak i Czechosłowacja musi wystrzyć. Według moich prywatnych informacji z Łodzi wyjechali tam niedawno:

przodujące koło hodowców rasowych kanarków
klub wegeterian i mięso
zasłużeni dla idei popularyzacji konia dorożkarze
niejaka pani Saszkiewiczowa z córką (wymiary: 159 x 90 x 80)

najlepsze kierowniczki i kierownicy
cała reszta wraz z małą grupką turystów.

Żarty na stronę. Nie dysponuję najświeższymi liczbami o rozmiarach tzw. małego ruchu turystycznego w rejonie Karkonoszy, w tamtejszym pasie objętym polsko-czechosłowacką konwencją. Natomiast mam w swoim ręku dane o rozmiarach tej „migracji" przez punkt graniczny w Tatrach mieszczący się na Łysiej Polanie: codziennie, i co jest specjalnie godne uwagi — bez względu na sezon lub porę roku, linię graniczną na Łysej przekracza od 1000 do 1500 osób. Z tego około 80 procent stanowią Polacy. W Zakopanem bilet na autobus PKS jadący do Łysej Polany lub w stronę Morskiego Oka trzeba kupować na dwa —trzy dni przed zaplanowanym terminem wyprawy. Zresztą — punktem startu niekoniecznie musi być zimowa stolica Polski. Od Bałtyku po Tatry poszedł bowiem po narodzie „hyr"...

* * *

Przyszedł do redakcji i zapytał: — Czy zechcecie to wykorzystać? Zrzekam się wszelkich pretensji autorskich...

Publikujemy. Tylko wtręty natury historyczno-socjologicznej pochodzą od nas. Ale i za resztę również bierzemy pełną odpowiedzialność.

PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA. NIKODEMA.

Uchwalono, że jedziemy. Autokar wynajmie się z PTT-K lub „Turysty". Kosztuje po 800 złotych, ale rada zakładowa daje nam na „lebka" po 150 z funduszów kulturalno-oświatowych. No i z tego dostaniemy kieszonkowe — 300 koron. Zgłosił się komplet. 45 osób. Wybraliśmy kierownika, który będzie „czu-

Dalszy ciąg na str. 7

„Mewa", „Giewont"? Przysłowie się sprawdza — sami nie wiemy co posiadamy, chociaż — raczej „nie posiadamy" a co palimy — same dewizy. Obrazek polsko-czeskiej koegzystencji made in Smokovec.

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. dr Janem Szczepańskim

kierownikiem Katedry Socjologii U. Ł.

o

- ★ sytuacji i perspektywach łódzkiego ośrodka naukowego
- ★ wychowaniu młodzieży
- ★ wpływie socjologii na kierowanie kadrami
- ★ nowościach wydawniczych łódzkich socjologów

— Panie Profesorze! Należy Pan do grona naukowców, którzy w Łodzi pracują od roku 1945. Jest Pan poza tym szeroko znany nie tylko ze względu na swoją działalność na Uniwersytecie Łódzkim, ale i z licznych publikacji naukowych i publicystycznych. Czy w związku z rozpoczęciem 17 roku akademickiego w naszym mieście nie zechciałby Pan podzielić się z Czytelnikami „Odgłosów" swoimi refleksjami na temat aktualnej sytuacji łódzkiej kadry naukowej oraz jej pozycji w kraju i za granicą?

— Łódź ma bardzo wielu wybitnych uczonych we wszystkich uczelniach łódzkich znanych szeroko w kraju i za granica. Wystarczy przejrzeć publikowane przeglądy bibliograficzne wskazujące, ile ukazuje się ich prac w czasopismach naukowych polskich i zagranicznych.

Niemniej trudno powiedzieć, że łódzkie środowisko naukowe jest już ostatecznie skrystalizowane. Ale przecież środowiska naukowe krystalizują się w bardzo długich okresach czasu. Sądzę więc, że Łódź ma wszelkie szanse na stworzenie takiego środowiska, złożonego z osób wykształconych w uczelniach łódzkich, nie przyjezdnych, lecz związanych z miastem i z jego regionem więzami rodzinnymi, patriotyzmem lokalnym i innymi względami.

— Czy można w zagadnieniach nauki mówić o patriotyzmie lokalnym? Zawsze sądziłam, że nauka, sztuka jest pojęciem w pełni niezależnym, wolnym od tego rodzaju wpływów?

— Pani nie zdaje sobie sprawy, jak wielką rolę odgrywa patriotyzm lokalny w życiu ośrodków naukowych. Proszę choćby popatrzeć na konkurencje między ośrodkiem warszawskim a krakowskim. Patriotyzm lokalny jest niejednokrotnie motorem wielu osiągnięć, pobudza ambicje, chęć przodowania.

— Toczy się obecnie szeroka dyskusja na temat nieprawidłowości w kształceniu kadr naukowych, niezbyt szczęśliwego systemu zdobywania doktoratów itp. Jak Pan Profesor widzi te sprawy i w związku z tym jak Pan ocenia perspektywy młodych kadr naukowych w Polsce?

— Na rozwoju młodej kadry ciążą u nas jeszcze skutki okupacji powodujące, że wiek biologiczny i wiek społeczny młodych pracowników nauki nie pokrywa się z ich wiekiem naukowym. Nierzadko człowiek 40-letni, mający rodzinę, jest ciągle obiecującym adjunktem.

Te obciążenia okupacyjne i inne okoliczności spowodowały, że asystentura przekształciła się w zawód, utrudniający zdobywanie stopni naukowych. Inne drogi, jak stypendia doktorskie dla różnych przyczyn równie nie spełniły pokładanych nadziei. Sądzę jednak, że obecnie prowadzone prace w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego pozwolą na stworzenie racjonalnego planu prowadzącego do stopni naukowych. Jednakże rezultaty tego zaznaczą się dopiero za co najmniej lat piętnaście.

— Czy istnieje problem naukowca stołecznego i z tzw. prowincji?

— Istnieje problem szans i możliwości rozwoju naukowego w stolicy i na prowincji. Stolica ma wiele możliwości zarobku, ma więcej doskonale wyposażonych instytucji naukowych, skupia więcej wybitnych uczonych, lecz z drugiej strony — utrudnia skupienie na jednym, wybranym problemie. Osobiście uważam, że rozwój silnych ośrodków naukowych na prowincji jest istotnym warunkiem rozwoju nauki w Polsce.

— Słyszy się opinie, że na wyższych uczelniach dominuje kult tzw. „czystej nauki" przy równoczesnym niedocenianiu funkcji dydaktyczno-wychowawczych. Czy jest Pan zdania, że ze względu na określoną sytuację wynikającą z napływu na wyższe uczelnie młodzieży o niewykształconym jeszcze światopoglądzie społecznym i etycznym uczelnie te powinny kontynuować system wychowawczy szkoły średniej, mieć jakby coś z liceum? Że powinny zająć się w szerszym niż dotąd zakresie przygotowaniem młodzieży do życia nie tylko od strony umysłów, ale i charakterów oraz obyczajowości?

— W tej chwili pracuję nad książką „O socjologicznych zagadnieniach wyższego wykształcenia w Polsce". Będzie to częściowo inwentarz naszej niewiedzy o młodzieży studenckiej, o procesach wychowawczych zachodzących na naszych uczelniach. Mam wrażenie, że wszystkie toczące się dyskusje na temat wychowania młodzieży i środków, które należy stosować są szukaniem po omacku i że nasza wiedza o tym, jakie zabiegi wychowawcze wywołują określone skutki, jest prawie równa zeru.

W tej sytuacji nie mam skrystalizowanego poglądu na temat, czy uczelnie wyższe powinny być podobne do liceum czy też raczej nie.

— Mówi się i pisze o konieczności korzystania z osiągnięć socjologii w kierowaniu kadrami i przemysłem. Jakie jest zdanie Pana Profesora w tej sprawie? Czy dokonane na UŁ ostatnie zmiany organizacyjne kierunków socjologicznego i ekonomicznego nie wynikają czasem z owej wzajemnej zależności ekonomii i socjologii?

— Jestem zawsze bardzo ostrożny w ocenianiu możliwości, wpływu socjologii na kierowanie kadrami i przemysłem. Trzeba bowiem widzieć różnice między użytecznością wykształcenia socjologicznego dla kadr kierowniczych, a użytecznością socjologa opracowującego zagadnienia jako podstawę dla decyzji podejmowanych przez te kadry.

Stan idealny wymaga, aby kierownik przemysłu rozumiał problematykę socjologiczną i w ten sposób mógł porozumieć się z badaczem socjologiem pracującym w przemyśle i wykorzystać jego opracowania. Przeniesienie socjologii na Wydział Ekonomiczny UŁ dokonane zostało właśnie w celu włączenia socjologii w proces kształcenia kadr kierowniczych dla przemysłu.

— I na zakończenie pytanie bardziej już osobiste. Nad czym pracuje Pan Profesor obecnie? I czego należy się spodziewać z publikacji łódzkich socjologów w najbliższym czasie?

— W tej chwili pracuję nad książką „Socjologiczne zagadnienia wyższego wykształcenia w Polsce" (o czym już wspomniałem) i przygotowuje drugie wydanie „Socjologii". W Zakładzie Badań Socjologii PAN znajduje się w druku 6 dalszych pozycji serii „Z badań klasy robotniczej i inteligencji". W większości są to prace wykonane w Łódzkim Ośrodku Socjologicznym.

— Dziękujemy gorąco Panu Profesorowi za interesującą rozmowę i życzymy, aby 17 rok pracy naukowej w naszym mieście przyniósł nowe sukcesy i dużo zadowolenia.

Rozmawiała:
K. WYRZYKOWSKA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Ksiądz pana winien...

Istnieje u nas, znany zresztą i gdzieindziej, pewien dobry obyczaj. Nie wystarcza samo wykształcenie chcesz pracować musisz najpierw praktykować. Dziś nie wyobrażamy sobie lekarza, który mógłby objąć samodzielny odcinek pracy bez odpowiedniego stażu. Ani inżyniera, adwokata, a nawet technika. Tysiące młodych ludzi, jeszcze przed maturą, idzie do fabryk na

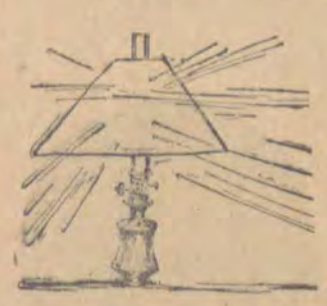

praktykę. Inna rzecz, rozmaicie taka praktyka wygląda, czasem kończy się na zamiataniu podwórka, albo ostrym biegiem do sklepiku po kiełbasę i papierosy dla pana majstra. Chodzi wszakże o zasadę — sama wiedza, szkolna czy akademicka nie wystarcza, warsztat pracy trzeba gruntownie poznać.

Jednemu zawodowi odmówiono wszakże prawa do praktyki. — Odmówiono nauczycielowi. — Produkcja nauczycieli z wyższym wykształceniem jest u nas bardzo prosta, zupełnie jak wytwarzanie guzików. Bierze się delikwenta na studia, w ciągu czterech lat zostaje polonistą, historykiem, matematykiem czystym, astrofizykiem i oficerem W. P., po czym, z reguły wbrew woli, delikwent wkracza do klasy licealnej, nie mając „pojęcia o wyobrażeniu". Towarzyszą mu zazwyczaj uroczyste komunały: szkoła będzie taka, jakim jest nasz nauczyciel, nie gabinety i nie pracownie rozstrzygną o postawie ideowej naszej ukochanej młodzieży, ale nauczyciel, spodziewamy się po tobie, nauczycielu z wyższym wykształceniem, że właśnie ty zlikwidujesz drugoroczność, bo masz wysoki poziom, rozwiniesz życie kulturalno-umysłowe licealistów, ostatecznie po to cię kształciła nasza ludowa ojczyzna. Wpłyniesz na postawy rodziców, będziesz walczył o laicyzację, politechnizację i oszczędność, zerwiesz z przestarzałymi metodami nauczania, pokażesz nowoczesną lekcję, opartą na demonstracji i żywym uczestnictwie wychowanków, przecież skończyłeś uniwersytet, który cię odpowiednio przygotował.

Wcale nie przygotował, od tego zaczyna się większość niepowodzeń młodego nauczyciela w szkole. Wyższe uczelnie, zwłaszcza zaś uniwersytety, bronią się przed „uzawodowieniem". Dobrze przygotowany fachowiec, proszę państwa, to rzecz liceów dentystycznych, techników handlowych, ale nie poważnej uczelni. Profesorowie wzruszają na ogół ramionami, kiedy im mówić o potrzebie spedagogizowania studiów, uciekają przed problematyką dydaktyczno-wychowawczą. Oni nie mogą być przecież wychowawcami, zajmują się wtłaczaniem do głów studenckich wiedzy, tej szczerej, wielkiej i czystej wiedzy. Wychowywać młodzież akademicką, gdyż taka potrafi chuliganić nie gorzej niż inna, zbijać bąki i inne zdrożne rzeczy — to rzecz szkół średnich, one powinny przekazać uczelniom dobrych, cacanych studentów. I tak się zamyka błędne koło. Ksiądz pana winien, pan księdza.

Profesorowie często narzekają, że szkoły średnie źle uczą, podczas studiów trzeba przypomnieć zupełnie elementarne rzeczy. Kogo wy nam tu przysyłacie? Powiedzmy, że tak jest w istocie. Profesorowie gimnazjalni narzekają na wyższe uczelnie, młody nauczyciel zdobył oczywiście, wystarczającą ilość czystej wiedzy w sensie dat, faktów, zdarzeń i przypisów, ale wychowawca i dydaktyk z niego żaden. Pojęcia nie ma o istocie nowoczesnej szkoły, jej szerokich i skomplikowanych funkcjach, o ostatnich eksperymentach pedagogicznych nawet nie słyszał. Większość technik i chwytów wychowawczych jest mu obca. Kogo pan dziekan pasował na nauczyciela? Zgódźmy się, że i to prawda.

Cóż więc należy czynić? Szkoła przechodzi wielką reformę, potrzeba nam coraz lepszych nauczycieli. Młodzież nauczycielska, często nawet dzielna, pełna zapału i dobrej woli — posiada poważne braki. Jeżeli nie można żądać od Wyższych Uczelni, aby energiczniej te braki usuwały, należy pomyśleć o zrównaniu nauczyciela w prawach z inżynierem, lekarzem czy prawnikiem. Mamy, rzecz prosta, na myśli podjęcie, choćby tylko z początku eksperymentalnie — praktyk nauczycielskich. Można wybrać dla tego celu szereg dobrych szkół, gdzie praktykant pozna dokładnie ca-

łokształt pracy współczesnego nauczyciela. Nie można przecież w nieskończoność żądać od nauczyciela więcej niż od kogokolwiek innego, a dawać tyle co nic.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

X - liczba niewiadoma

Przed dwoma tygodniami ukazał się w „Odgłosach" na kolumnie telewizyjnej artykulik pod tytułem „...za lekceważenie sądu". Omawiając audycję publicystyczne łódzkiej telewizji, autor był łaskaw stwierdzić, że audycja cykliczno-magazynowa „Spojrzenia i opinie" (cytuję): „kryje w sobie pewną tajemnicę". Jaką, tego nie zdradza.

O swoich kolegach „niejako po fachu", czyli o dziennikarzach z telewizji autor artykuliku wypowiada się z jednoznaczną powściągliwością. Dobre obyczaje — powiada — nie pozwalają mu przekazywać drukiem tego, co myśli o pracujących w telewizji dziennikarzach. No, proszę: co krok to tajemnica. Nawet swoistą niewiadomą stanowi dla kompletu autor artykułu podpisujący się skromnie literką „X".

Wprowadziwszy czytelnika w nastrój tajemniczości, „iks" usiłuje dać jakiś rys historii kontaktów ŁOT ze środowiskiem dziennikarzy. I znowu odkrywa rzecz co najmniej podejrzaną stwierdzając, że TV miewa „niewytłumaczalne zrywy", których wynikiem bywa parę nowych twarzy w magazynach publicystycznych.

Myślę, że warto zedrzeć zasłonę rzekomej tajemnicy i pomówić poważnie i szczerze — to znaczy inaczej niż to czyni „iks" — o dziennikarskich programach w TV. Trzeba na wstępie powiedzieć, że publicystyka w TV nie jest rzeczą łatwą. Audycję typu teatralnego, „Kobra", film, koncerty rozrywkowe, to są formy programowe a priori chętnie przyjmowane przez telewidzów. Publicystyka ma od razu na wstępie do przezwyciężenia pewien opór odbiorców przedkładających programy rozrywkowe. Ponadto nudną gazetę, czy czasopismo czytelnik po prostu odkłada, a wymagania w stosunku do telewizji są o wiele wyższe.

Na przestrzeni pięciu lat łódzka TV nadała mnóstwo programów publicystycznych. Wiele z nich spotkało się z krytyką i niezadowoleniem widzów, nierzadko jednak otrzymywaliśmy również sygnały listowne i telefoniczne, świadczące o tym, że ta czy inna nasza audycja „trafiła" do widzów: podobała się, wzruszyła, lub sprowokowała do dyskusji.

Zdawaliśmy sobie jednak od dawna sprawę, że najmniej interesują telewidzów audycje statyczne, polegające na szablonowej rozmowie przy stoliku, choćby nawet poruszały istotne problemy. Na tym tle nie znajdowaliśmy płaszczyzny porozumienia z niektórymi dziennikarzami, z tymi mianowicie, którzy chcieli przenieść mechanicznie do telewizji swoje nawyki nabyte w dziennikarstwie gazetowym, z tymi także, którzy nie wykazywali żadnej inwencji w zakresie form telewizyjnych, a kierowali się jedynie ambicją „pokazania się" w telewizorze.

Latem tego roku ogłosiliśmy konkurs na ramowy scenariusz cotygodniowego magazynu. Konkursem zainteresowaliśmy całe środowisko

Dalszy ciąg na str. 8

KORESPONDENCJA

Niegrzecznie!

Panie Redaktorze, w nr 39 (187) Odgłosów umieszczono wielce nieodpowiedzialny artykulik dotyczący audycji telewizyjnej z udziałem artystów Operetki Łódzkiej.

O cóż chodzi? Ano o to — jak głosi „wszem i wobec" wspomniany artykuł, że artyści w ostatniej chwili odwołali swój udział w audycji, że wycenili własną wartość na „tyle a tyle złotych i groszy" i nic nie opuszczają że audycja omal nie rozbiła się o jakieś tam 850 zł (na osobę), że Telewizja Łódzka przysięga na wszystko, ażeby jej uwierzyć, nie ma w ogóle pieniędzy; że „...ostatecznie będziemy mieli na wizji parę nieostatnich nazwisk w repertuarze nietypowym". „I wszystkim tym informacjom dano taki oto niezgorszy nagłówek: „Zdaje się, że robimy niezgorszy interes". Tyle — Odgłosy.

My natomiast wyjaśniamy, iż:

1) odpowiedź negatywną daliśmy przedstawicielowi TV ob. Januszowi Rzeszewskiemu w trzecim dniu po propozycji wzięcia udziału, tj. — na dwa tygodnie przed audycją.

2) Nie wyceniamy własnej wartości, tylko oceniamy swój wysiłek, pracę, jaką wkładamy w audycję (zaproponowano nam 800 zł za występ) a po naszej rezygnacji więcej do spraw finansowych nie wracano, czyli, że nie z naszej winy audycja „omal nie rozbiła się o rafy finansów".

3) TV nie musi bić się w piersi. My wierzymy, że dla nas więcej pieniędzy nie miała (skąd TV wzięła pieniądze dla „nieostatnich nazwisk" tj. dla artystów Opery, płacąc im po 1.200 — zł za udział w audycji, tego nie musimy wiedzieć).

A co do robienia niezgorszego interesu, informujemy, że w TV zarabialiśmy po raz ostatni pół roku temu. Chcielibyśmy dodać, że artyści z nieostatnimi nazwiskami nawet i po 150 zł (sto pięćdziesiąt) też w TV zarabiają. Więc kto tu robi interes?!

Rezygnujemy z komentarza, licząc na roztropnych czytelników, zwłaszcza tych, którzy znają stosunki w Telewizji Łódzkiej, aby resztę dopowiedzieli sobie sami.

TV proponujemy, by w przyszłości tego rodzaju sprawy załatwiała raczej na miejscu, w gabinecie dyrektora lub w dziale finansowym. Jednocześnie mamy okazję podkreślić, że ob. reżyser Janusz Rzeszewski jest naszym serdecznym przyjacielem. Pana Redaktora natomiast uprzejmie prosimy, aby podobnych „informacji" nie podawał do publicznej „konsumpcji". Bo to tak jakoś...!

Łódź, 10. X. 61 r.

HANNA DOBROWOLSKA
EDWARD KAMIŃSKI
JANUSZ DUŃSKI
JERZY SIDOROWICZ

Tylko w sprawie formalnej. „Bo to tak jakoś..." — Bo to tak jakoś. Drukowaliśmy poprzednią notę na tej samej zasadzie, na jakiej drukujemy powyższe sprostowanie.

WYWIAD z HITCHCOCKIEM

Francuskie czasopismo „Cinemonde" opublikowało wywiad ze znakomitym reżyserem amerykańskim Alfredem Hitchcockiem, twórcą m. in. znanych u nas filmów „Podejrzenie", „W cieniu podejrzenia", „Rebeka", „Okno na podwórze". W tych dniach wchodzi na łódzkie ekrany nowy jego film „Urzeczona". Alfred Hitchcock jest z pochodzenia Anglikiem i posiada prawdziwie angielskie poczucie humoru. Dlatego na wiele pytań odpowiada w specyficzny i tylko sobie właściwy sposób. By zaspokoić ciekawość naszych czytelników pozwolimy sobie przytoczyć kilka fragmentów wywiadu.

Kiedy zetknął się pan po raz pierwszy z filmem?

W wieku 11 lub 12 lat. Nie pamiętam zresztą pierwszego oglądanego przeze mnie filmu, lecz od tej chwili stałem się namiętnym kinomanem.

Czy pana namiętność do „filmu-opisu podróży" wywodzi się z wstrząsu doznanego w dzieciństwie?

Zawsze ulegałem urokom magii podróży, kiedy byłem mały najbardziej pasjonował mnie problem dokąd jadą autobusy... Znałem wówczas na pamięć wszystkie rozkłady pociągów europejskich. Wystarczyło abym przeczytał nazwy stacji Simplon-Expressu, a już lektura ta pobudzała mnie do marzeń. Znałem również trasy wielkich transatlantyków. Zrobiłem nawet małe chorągiewki, które przesuwałem na mapie w miarę osiągania przez transatlantyki odpowiednich portów. Prawdopodobnie właśnie z tego doświadczenia wywodzi się moja namiętność do podróży.

Pan był rysownikiem. Czy fakt ten miał jakiś wpływ na Pańską karierę jako filmowca?

Z pewnością... Jeszcze dziś kiedy wyobrażam sobie jakąś scenę filmową nie myślę wcale o obiektywie kamery, lecz jedynie o tym w jaki sposób ten plan zostanie skomponowany na płaszczyźnie ekranu tzn. w ramach prostokąta.

— Czy ogląda pan z przyjemnością swoje nieme filmy z okresu angielskiego?

— Nie, ponieważ film niemy nie był czymś samoistnym. Pojawienie się dźwięku zniweczyło jedyny urok tego rodzaju filmów, urok nierealności. Tragedią filmu mówionego była chęć przeniesienia teatru na ekran. To był poważny błąd. Najgorsza rzecz jaka może przytrafić się reżyserom to scenariusz napisany w sposób nie dający możliwości zastąpienia kwestii dialogu przez obraz.

— Dlaczego zrealizował pan film muzyczny „Śpiew Dunaju".

Ponieważ nie miałem żadnych innych propozycji. Lecz gdybym dziś miał znów robić komedię muzyczną, byłbym okropnie zakłopotany. Głowię się bowiem nad tym gdzie, kiedy i jak mógłbym wprowadzić do akcji trupa.

— Począwszy od 1936 r. rysuje się idealny typ pana przyszłych bohaterek: typ młodej blondynki, której bardzo często każe pan nosić okulary. Dlaczego jest pan tak bardzo przywiązany właśnie do tego typu kobiet?

— To kwestia przypadku. Moje bohaterki są blondynkami i noszą okulary po prostu dlatego, że ludzie idący do kina lubią odnaleźć na ekranie właśnie te postacie, które codziennie spotykają na ulicy. Otóż na ulicy — przynajmniej w Stanach Zjednoczonych — spotyka się ogromna ilość blondynek w okularach.

— Mówią, że realizacja „Rebeki" pana pierwszego filmu nakręconego w Stanach w r. 1940 była dla pana próbą umartwienia?

— To nie jest zupełnie prawdziwe. W rezultacie nie jestem aż tak bardzo niezadowolony z tego filmu.

— Dlaczego doktor Goebbels tak bardzo lubił pański film „Korespondent 17".

— Wcale o tym nie wiedziałem... Bez wątpienia jednak dlatego iż doktór Goebbels posiadał zapoznany talent urodzonego scenarzysty.

— Czy „Podejrzenie" było dla pana jedynie ćwiczeniem wirtuozerii technicznej?

— Istnieje pewne nieporozumienie w związku z tym filmem. Dla mnie, zgodnie z moją koncepcją scenariusza nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Gary Grant zamordował swoją żonę. Ale producenci zażądali wycięcia wszystkich scen pozwalających się domyśleć zbrodniczych intencji Gary Granta. W ten sposób sekwencja z szklanką mleka straciła cały swój sens. W wersji ostatecznej Joan Fontaine nie wypija mleka, które nie jest zresztą zatrute. Wersja pierwotna była zupełnie inna. Joan Fontaine pisała do swej matki: „Mój mąż jest zbrodniarzem, ale ja go kocham. Jestem pewna, że mnie zabije. Sadzę, że należałoby go aresztować... Joan Fontaine kładła list na nowym stoliku właśnie w chwili gdy Gary Grant przynosił jej szklankę zawierającą truciznę. Przed wypiciem jej, zwróciła się do męża: „Kochanie, czy nie zechciałbyś wrzucić tego listu, który napisałam do mamy" Joan Fontaine wypija następnie truciznę i umiera. Potem było „ściemnienie" i widzieliśmy Gary Granta, który pogwizdując wrzucał kopertę do skrzynki pocztowej...

— Jakie miejsce w pana twórczości zajmuje film „W cieniu podejrzenia"?

— To film, którego realizacja dała mi największe zadowolenie. Po raz pierwszy połączyłem trzy nieodzowne elementy dobrego scenariusza: „suspense", obraz środowiska społecznego i studium charakterów.

— Co pana skłoniło do wykorzystania po raz pierwszy w „Urzeczonej" metod i środków psychoanalizy?

— Psychoanaliza nie była przedmiotem moich zainteresowań. Scenariusz dawał mi okazję do realizacji historii zupełnie odmiennej od tych jakimi się dotąd zajmowałem.

— A co pan sądzi, w 16 lat po jej realizacji, o sekwencji snu Salvadora Dali.

— Nie uważałem jej za przekonywującą. Zależało mi na współpracy Salvadora Dali ponieważ chciałem kręcić tę scenę w plenerze w bardzo ostrym słońcu. Producent był jednak odmiennego zdania i w rezultacie kręciliśmy w atelier. Kiedy się śni, ma się na ogół bardzo jasną i wyraźną wizję wydarzeń. Sny, moim zdaniem, nie muszą zawsze tonąć we mgle.

— Czy uważa pan, że Grace Kelly, która grała po raz pierwszy pod pana kierownictwem w „Oknie na podwórze" była wielką aktorką?

— To wielka aktorka, która jednak za mało grała. Aby stać się naprawdę wielką artystką trzeba mieć doświadczenie, tzn. trzeba dużo grać... Zresztą prawdziwa gwiazda zdobywa Oscara dopiero po zmyciu swego maquillagu.

— Jakie, pańskim zdaniem, jest znaczenie tematu w filmie?

— Najistotniejsze dla filmu jest „suspense" (napięcie). Temat jest sprawą uboczną, drugorzędną. „Kopciuszek" był już opowiadany tysiące razy i za każdym razem w zupełnie inny sposób. Dodam jeszcze, że czyste filmy szpiegowskie tzn. filmy opierające się na autentycznych faktach nie cieszą się na ogół wielkim powodzeniem. Publiczność nie pasjonuje się tego rodzaju bohaterstwem. Publiczność żąda „przygód". I nawet jeśli one są zmyślone, wierzy w nie bez trudu.

— Jakie jest pana zdaniem idealne „suspense".

— Byle jaka historia pozwalająca jednak domyśleć się istnienia bomby.

Dzięki bombie łatwo można utrzymać napięcie i zmusić publiczność do śledzenia filmu z zapartym tchem całymi godzinami.

Opr. **M. K.**

Alfred Hitchcock

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Pogrzeby

Dość ekstrawagancki lub nieco udziwniony tytuł „Nie ma pogrzebów w niedzielę" jest na szczęście jedyną ekstrawagancją filmu Michała Dracha — 31-letniego reżysera, twórcy krótkometrażówek, debiutującego w filmie fabularnym.

Scenariusz filmu Drach osnuł na fabule powieści Freda Kassaka, która została nagrodzona w 1958 roku tzw. „Wielką nagrodą literatury kryminalnej". Podobnie jak twórca „400 batów" — Truffaut, po długim wydeptywaniu ścieżek do różnych producentów filmowych, zdecydował się on wreszcie sam zrealizować swój pomysł filmowy. Atelier urządził we... własnym mieszkaniu, a aktorów wziął po prostu z ulicy. Powstał film o dość ciekawej fabule, a przede wszystkim świetnie odtworzonej atmosferze zagubienia samotnego murzyńskiego studenta. Zrealizowane zostało studium człowieka spragnionego uczucia: studium człowieka oszukanego. Bohater filmu jest sam wśród setek ludzi, gdy chodzi po ulicach obnosząc reklamę wody mineralnej. Chodzi i jednocześnie podpatruje ludzi, zazdrości im normalnego, zwykłego ludzkiego życia. Znajduje wreszcie kogoś, komu może powierzyć swoją samotność, dla kogo może być pomocny. Szwedzka dziewczyna, przypadkowo spotkana, odwzajemnia jego uczucia. Sekwencje dotyczące wątku miłosnego Murzyna i Szwedki Drach ukazuje co najmniej na miarę tego jak to uczynił Czuchraj w swej pięknej „Balladzie o żołnierzu". Bardzo świeży liryzm, bez melodramatyzmu, potrafi wzruszyć widza.

Odtwórcami głównych ról są aktorzy-amatorzy. Naprawdę świetna, bardzo prawdziwa kreacja Philippes Mory — barmana jednego z lokali paryskich, zaskakuje dojrzałością środków aktorskich. Młoda, szwedka studentka Christina Bendz jako Margaretha i Albert Gilou — prywatny wydawca jednego z paryskich czasopism, potwierdzają swoją grą umiejętności Michała Dracha w prowadzeniu nie tylko narracji, w budowaniu sytuacji, ale również w świetnym wydobyciu wszystkich podtekstów roli z „zielonych" aktorów. Wiele ekspresji posiadają zdjęcia Jeana Torniera, szczególnie w ekspozycji filmu. Na osobne podkreślenie zasługuje muzyka Erica Dixona i Kenny Clarke'a, znakomicie podbudowująca atmosferę całego filmu, atmosferę ciągłej niepewności samotnego człowieka.

Drach za „Nie ma pogrzebów w niedzielę" otrzymał jedną z najbardziej znanych i cenionych francuskich nagród filmowych — nagrodę Luisa Delluca, do której pretendował także film innego znanego twórcy „nowej fali" Jean Luc Godarda — „Do utraty tchu". Bez przesady można napisać, że film Dracha stanowi jedną z najbardziej ciekawych premier w październikowym repertuarze.

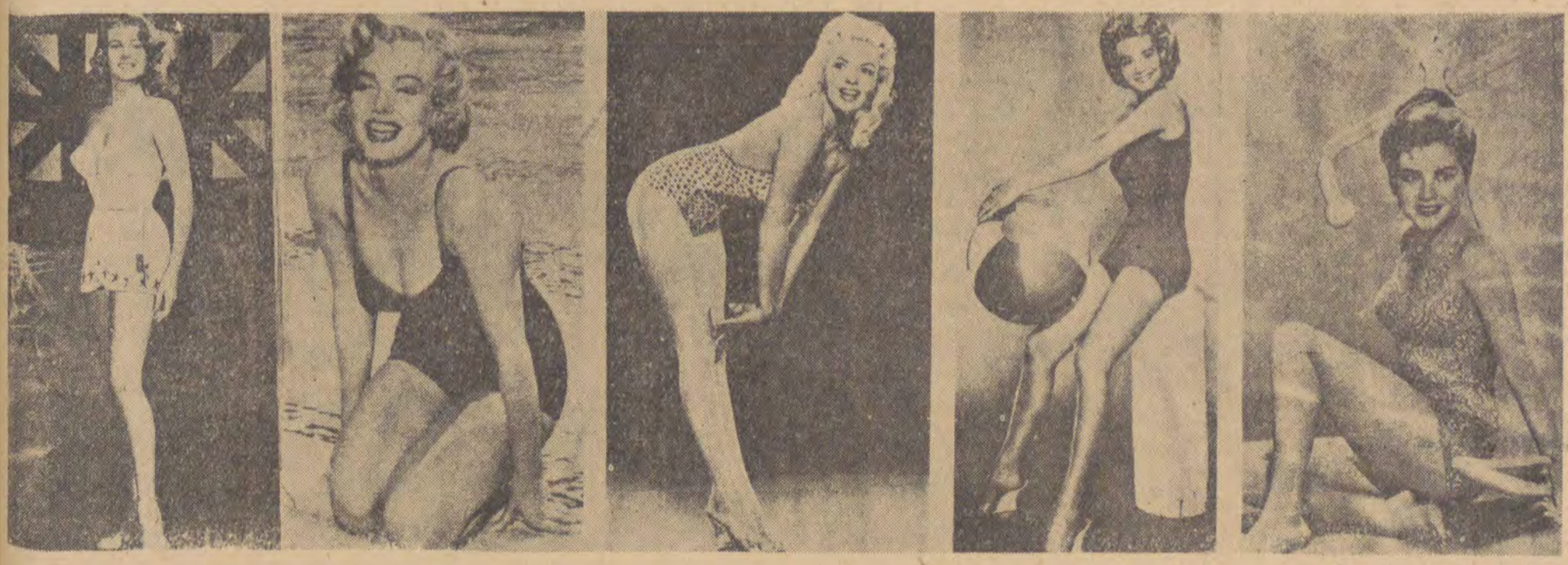

Z okazji trwającego babiego lata, które w naszym klimacie, ma wszelkie szanse na to by stać się prawdziwym i jedynym latem, demonstrujemy naszym czytelniczkom serię kostiumów kąpielowych nadających się doskonale na polski październik i listopad. Kostiumy prezentują modelki „Mieszanki filmowej" (od lewej) Rita Hayworth, Marylin Monroe, Jayne Mansfield, Angil Dickinson i Dolores Hart.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

PAMFLET
na „ŻLE URODZONYCH"
albo humor
„KSIĘGI CHAMÓW"

„Aniołek ten poddany był Xięcia Ostrogskiego Pana Kasztellana Krakowskiego ze wsi Łaznowca wziął go ze wsi u poddanego swego za chłopca że dł-ugo go miał u siebie i ożenił go był ze służebną miał go potym za urzędnika we wsi Proszowice kilkanaście lat aż do śmierci. Ten za żywota pańskiego ladajak-o chodził aż skoro pan umarł przy Xiężnej nadsługował w Tarnowie a syn jego także u Xiężnej służył circa A 1631 Aniołowicz zwał się oba w aksamitach blawatno chodzili. Trzeba by im skrzydła kijmi dębowymi opalić by górą nie wylatowali bo się y szlachtą chcą zwać: Dał mu Xiążę Żędzin folwark pod Tarnowem" — tak opisuje próbę wzniesienia się ze stanu chłopskiego do szlacheckiego słynna „Liber Generationis albo Catalogius o tych, którzy de gente sławnego rodzaju Plegeanorum początek swoy y orginem ducent..." itd. Tytuł jest długi. Skróconą nazwę „Liber Chamorum" (Księga Chamów) wziął rękopis z podtytułu. Autor tropi i piętnuje bez litości wszystkich tych mieszczan i chłopów, którzy usiłowali przywłaszczyć sobie herby i przywileje i podszyć się pod stan szlachecki.

Dzieje „Księgi Chamów" potwierdzają słuszność znanego przysłowia, że i książki mają swe losy. Rękopis powstał prawdopodobnie w latach 1626—1639. Autor, szlachcic małopolski, pan Nekanda-Trepka Walerian lub Żegota (imienia dotąd nie ustalono), wymienia parę tysięcy nazwisk tych osób plebejskiego pochodzenia, które wkręciły się do stanu szlacheckiego. Oryginał lub kopia przechowywana była w Carskiej Bibliotece w Petersburgu, skąd na mocy postanowień traktatu ryskiego wróciła do Warszawy. Drugi egzemplarz (kopię) posiada Biblioteka Ossolineum we Wrocławiu. Wreszcie, trzeci (i chyba ostatni) odpis z kopii osiemnastowiecznej znajduje się w Bibliotece Instytutu Historycznego przy Uniwersytecie w Łodzi.

Zasób wiadomości czerpał autor — jak pisze Dr. H. Polaczkówna w rozprawie, zamieszczonej w „Miesięczniku Heraldycznym" — z ksiąg grodzkich i ziemskich Małopolski, z ksiąg niektórych miast Małopolski z Krakowem i Miechowem na pierwszym miejscu. Oprócz tego pan Nekanda-Trepka sięgnął do gawęd kursujących wśród szlachty, mieszczaństwa i pospólstwa, zapisał wszystko, co mógł usłyszeć od szlachty bełzkiej, mieszczan łagowskich itp. W katalogu swym zamieszcza również tych, którzy bądź to przez nabycie dóbr ziemskich, bądź przez dodanie do nazwiska końcówki „s k i" lub „c k i", wzbudzili jego podejrzenia, że w niedalekiej przyszłości będą chcieli wcisnąć się między szlachtę. Nasz autor wyśmiewa się z plebejuszy, którzy w małżeństwie ze szlachcianką widzą swój awans społeczny:

„Kostecką pojął był karczmarz we wsi wojewody ruskiego do Wiśnicza circa 1622, przymusiła go, że jej musiał kupić kolasę i parę koni, co do kościoła jeździła, a sam, że to karczmarz, sromał się siadać z nią, bo i nie dała mu siadać, piechotą szedł zawsze".

Albo: *„Woliński nazwał się w Stobnicy mieszkał najmem. Ten pojął A 1635 założnicę Pana Gołuchowskiego starosty Wiślickiego zwała się Wygnańska, a była już praegnans (brzemienna) w pół większego czasu. Zległa temu Wolińskiemu w kilka niedziel. Mieszkał tam że z nią i A 1635 z posagiem, co go były pełne niecki, pojął ją. Może nie narzekać, na gotowe naczynie trafił".*

Ale ze szczególną pasją pisze nasz szlachcic małopolski o dzieciach z nieprawego łoża, których ojcowie obdarowywali ziemię i zapewniali im przyszłość, żeniąc ich po dojściu do pełnoletności ze szlachciankami.

Dzieciom nieślubnym dawano nazwy od miejsc urodzenia lub zezwalano na używanie zmienionego nazwiska ojcowskiego. Na ten temat krążyło wiele anegdot i niewybrednych dowcipów, a słynny poeta ówczesny Wacław Potocki napisał dowcipną fraszkę:

Z Miłkowskiego Koski
Zmazawszy Mił, Miłkowski
bękarta zwał Koskim,
Wstydząc się go przezwiskiem mianować ojcowskim,
Ja mu zaś Mił zostawię. Koski raczej urwę,
Kiedy ojciec miłował, miasto żony...

Zarówno Potocki, jak Nekanda-Trepka byli wyrazicielami opinii szlacheckiej, która uważała dzieci nieślubne za wyrzutków społeczeństwa i stworzyła bogate słownictwo dla wyrażenia dyskryminacji i pogardy dla nieprawego potomstwa, jak: bastard, bękart, wyleganiec, pokrzywnik.

Autor „Księgi Chamów" układa pedantycznie w alfabetycznym porządku cały katalog licznych potomków z nieprawego łoża, z którego tutaj — zachowując pisownię, składnię i przestankowanie — wybrałem dla przykładu następujących:

„Brudzowski nazwał się bękart P. Borka Józefa z Brudzowej dwie mili od Chęcin. Miał go z chłopską dziewką poddaną swą. Ten uchowawszy się u P. ojca jego, był za urzędnika w tymże Brudzowie kilka lat".

„Bębnowski nazwał się bękart P. Jędrzeja Chwaliboga, co w Janowicach mieszkał pod Zakliczynem. Tego bękarta, gdy przy ojcu tym swym chłopcem był, że pękato rósł, zwał go bęben, czasem bęsiu, on podrósłszy Bębnowskim zwał się".

„Cezar był to Włoch. P. Piotr Zborowski gdy służył u niego (Cezar, naturalnie! dop. autora) przydał mu nazwisko. Juliusz Cezar. Zdybał był ten Juliusz na gruszce chłopa i łajał mu odpowiadając bić jak zlezie, chłop zlazłszy bojąc się kaźni dał cesarzowi kijem, że zarazem na miejscu został, a zabiwszy uciekł przez, co było A 1602. Zła korona gdzie chłopi Cezara kijem biją".

„Niezabitowscy nazwali się trzej, Jakub, Stanisław i Jan, bękarci p. Adama Wielkanocnego z Wielkanocy mila od Miechowa, których miał z kowalówną. Ten Pan Wielkanocki miał za sobą potym Dębińską, z którą źle mieszkał że ten starszy bękart pochlebiając oskarżał ją do niego o czym gdy się dowiedzieli P. Dębińscy zjechali kilka ich do Wielkanocy circa 1588 a wywiódłszy przed dwór starszego bękarta Jakuba hanieb nie powrozami bić kazali ledwie żywego zostawili. Na co patrzył Wielkanocki a że wo nie zabili stąd Niezabitowskim nazwał go..."

Pomimo surowych kar za cudzołóstwo, spotykało się w dawnej Rzeczypospolitej bardzo wiele dzieci nieślubnych. Sądy wiejskie oprócz kary chłosty, a nieraz — i wyświęcenia niewiasty ze wsi, skazywały ojca na zapłatę jednorazowej sumy na wychowanie dziecka; często był nią ekwiwalent w naturze — krowa. Wśród mieszczan prawo miejskie odmawiało bastardom prawa do spadku, do piastowania urzędów, a nawet utrudniało dostęp do cechów. Zdolne i przedsiębiorcze jednostki przełamywały te przeszkody i dochodziły do majątków i godności albo kończyły na szubienicy. Sądząc z tekstów „Libri Chamorum", wielu bandytów i opryszków pochodziło z nieprawego łoża, jak gdyby łamaniem praw mszcząc się na społeczeństwie za niezawinione relegowanie ich jako podrzutków ze społeczności.

Inaczej przedstawiała się sprawa, gdy ojcami bastardów była szlachta. Dzieci z nieprawego łoża obdarowywano ziemią. Niemniej opinia szlachecka dyskryminowała pańskich bękartów stosując wobec nich bojkot towarzyski. Znajduje to właśnie wyraz w niehumanitarnym stosunku p. Nekandy-Trepki do dzieci nieślubnych. Autor w dążeniu do zachowania bezwzględnej czystości rodu odmawia praw do stanu szlacheckiego nie tylko potomkom „de patre nobili, sed mater ignobilj" (z ojca szlachcica, lecz z matki nieszlachcianki) oraz „de parentibus nobilius, sed illegitimae iunczis" (z rodziców szlachetnie urodzonych lecz nie związanych węzłem małżeńskim), ale krytykuje także możliwość legitymacji pokrzywników przez króla, ba nawet — przez sejm. W jednym tylko wypadku uznaje nobilitację, a mianowicie, za zasługi wojenne. Oprócz tych względów zasadniczych p. Nekanda-Trepka nie dopuszcza do nobilitacji osobników, którzy odbiegają od jego wyobraźni o idealnym szlachcicu. Nie może być szlachcicem ktoś, „kto nie umie podać swego rodu i herbu", „kto w szarym kopieniaku chodzi" „kto idiota, czytać ani pisać nie umie" i „kto ma twarz grubą".

Tęgim hipochondrykiem musiał być nasz szlachcic małopolski, ale nie można mu odmówić odwagi: Szarpał nie tylko hetki-pętelki, lecz również — możnych i wielmożnych nie bojąc się wystąpić z zarzutem plebejskiego pochodzenia przeciwko osobom wysoko postawionym, jak Wojciech Baranowski biskup przemyski lub Piotr Tylicki, biskup krakowski, albo nawet Paweł Piasecki, biskup przemyski, znany historyk.

Z „Księgi Chamów" korzystali w swych pracach Jan Bystroń („Dzieje obyczajów w dawnej Polsce" i inn.), a ostatnio Zbigniew Kuchowicz („Z dziejów obyczajów polskich") nie wyczerpując nawet w połowie materiału z tego bezcennego źródła staropolszczyzny i wiadomości obyczajowych. I chociaż poglądy na znaczenie dzieła p. Nekandy-Trepki dla nauki są chyba podzielone, gdyż nie brak historyków, którzy skłonni są widzieć w „Księdze Chamów" tylko katalog złośliwości sarmaty-śledziennika, to jednak czy nie warto, żeby nasze wydawnictwa podjęły trud utrwalenia w wydaniu książkowym tego jedynego w swoim rodzaju pamfletu na plebejuszy?

ROZMAITOŚCI

EWA OSTROWSKA

CZEKANIE na MALARZY

1. CZŁOWIEKOWI OPADAJĄ RĘCE

Duża szafa biurowa w kącie przy drzwiach. Oparta o ścianę perkusja. Stolik, a na nim żółta skrzynia reprezentacyjnego radia. Kilka instrumentów muzycznych w niedbałych pozach, poowijanych w pokrowce. Dwa nie wielkie okna z czymś, co jest chyba firanką, o nieokreślonym kolorze. Dwa biurka z typowym wyposażeniem: kałamarze, pióra, ołówki, popielniczki. Na jednym telefon. Przy biurkach kilka odrapanych krzeseł. Stół. Podłoga z desek, kiedyś prawdopodobnie malowanych, bodajże na czerwono. Ściany w tapetowy rzucik. Pociemniały sufit.

Nie, to nie jest fragment antypowieści. To jest skrócony odpis z rzeczywistości, która kryje się za zieloną tabliczką z napisem: POWIATOWY ZARZĄD ZMS W ŁASKU. Po prostu jest to prawdziwy pokój posiadający powyższe przedstawicielstwo.

„Jak cię widzą, tak cię piszą" — stara maksyma z długowieczną tradycją i wciąż aktualnym zastosowaniem nabiera w tym zaniedbanym wnętrzu specjalnego akcentu.

— Człowiekowi opadają tutaj ręce — zripostował subiektywne skojarzenie drugi sekretarz zarządu ZMS, tow. Gzik.

Jednoznoczność wypowiedzi młodego mężczyzny pasuje do niechlujnego otoczenia, lecz on sam wyraźnie w nim nie „siedzi". Po prostu jest młody. Młodość nie pozwala się obwijać w pajęczyny — myślę i słucham co mówi drugi sekretarz.

— Łask jest małym miasteczkiem. Nie posiada przemysłu kluczowego. Wytwórcze Zakłady Sprzętu Rolniczego są największymi i zatrudniają... niewiele ponad 100 pracowników. ZMS na terenie Łasku liczy około 400 członków, z czego procentowo najsilniej się przedstawia młodzież szkolna. Jednocześnie my nie stanowimy dla niej ostatecznego autorytetu w sprawach organizacyjnych. Pierwszym po Bogu — co należy traktować dosłownie, a nie metaforycznie, bo Łask — czyli inaczej parafia księdza proboszcza... — a więc pierwszym po Bogu jest dyrektor szkoły. Właściwie był, ponieważ nastąpiła zmiana personalna i być może, współpraca z nowym ułoży się pomyślniej dla nas. Powiatowy Dom Kultury, którego osiągnięć kulturalnych nie daje się zaprzeczyć, posiada większe możliwości tak finansowe, jak i lokalowe, nic więc dziwnego, że młodzież szkolna nie stanowiła stałych członków naszego klubu i wybierała Dom Kultury, jako lepsze źródło rozrywki i rozwijania swoich zainteresowań. Zresztą, trzeba niestety przyznać, że uczestnictwo w działalności klubu w pewnym jego okresie byłoby dla młodzieży szkolnej co najmniej niewskazane.

2. OKRES BŁĘDÓW I WYPACZEŃ

Posługując się słownictwem protokołowym dałoby się oznaczyć pewien okres klubu — „okresem błędów i wypaczeń". W wyniku: przewodniczący ZMS zwolniony dyscyplinarnie, klub zamknięty na cztery spusty i pozbawiony obywatelstwa. W wyniku: nowy przewodniczący (mimo że sprawa działa się bez mała trzy miesiące temu) musi stać boje o przeznaczenie i nazwę dla lokalu, który przecież należy wykorzystać. W środowisku prowincjonalnym opinia miasteczka staje się szybko prawomocnym i obowiązującym wyrokiem. Aprobuje, względnie potępia. W przypadku klubu opinia władz i miasteczka okazały się zgodne: dezaprobata „pewnego okresu".

Start dawnego klubu odbył się przy sprzyjających wiatrach. Telewizja, radio z adapterem stwarzały możliwości kulturalnego zużytkowania wolnego czasu. Sekcje brydża i szachowa zyskały popularność i stałych członków. Sekcja esperantystów (jedyna, która chwalebnie przetrwała „pewien okres", i która kontynuuje naukę, lecz już bezprzynależnościowo, ponieważ klubu na razie nie ma) świadczyła o pewnych skłonnościach poznawczych młodzieży. Ambicją młodego i zdolnego kierownika klubu, kol. Iwannickiego stało się zorganizowanie kabaretu młodzieżowego. Ambicja zdrowa, znalazła poparcie zarządu ZMS i wykonawców. W Łasku przy klubie powstał więc kabaret, którego kierownictwo literackie i reżyserię objął kol. Iwannicki, wykonawcami zaś — zostali ci pozostający bez stałego zajęcia, eksstudenci, powyrzucani z uczelni, ze snobistycznymi pozostałościami z okresu pobytu na studiach, miejscowi, elitarni światowcy. Chociaż — początkowo nie dało się im niczego konkretnego zarzucić, a naszym obowiązkiem jest przecież dawanie każdemu jednakowej szansy. Poza tym byli rzeczywiście zdolni, utalentowani. I zapalili się w projektach. Własnymi siłami i środkami wyremontowali pokoik przy klubie jako bazę dla swojej pracy w kaberecie... — powiada sekretarz.

Zapał nie trwał długo i okazał się przysłowiowym słomianym ogniem. Już po kilku próbach rozpoczęły się scysje — „każdy chciał być ważnym".

Pomimo wewnętrznych zaburzeń kabaret zaczął działać i wystawił dwa programy, wzorowane na radiowych podwieczorkach przy mikrofonie. Programy podobały się i starym, i młodym. Mała salka klubowa nie była w stanie pomieścić wszystkich chętnych widzów.

Pod nieobecność kierownika klubu nastąpił kryzys kabaretu i klubu. Wieczorki taneczne, odbywające się dosyć często w lokalu klubowym mieniły charakter, przekształciły go w „orgie" — opiniuje tow. Gzik. Orgia na pewno jest określeniem na wyrost, faktami jednak pozostały hałasy po nocy, powybijane szyby, bójki, pijackie awantury. Karty wstępu okazały się fikcją („no co, nie wpuścisz kolegi?") Podobnie ograniczone ilości wina („sprowadzaliśmy dosłownie kilkanaście butelek, lecz przynoszono zwyczajnie z zewnątrz trudno przecież było przeprowadzać rewizje osobiste przy wejściu. I potańcówki przeobraziły się w pospolite, pijackie zabawy z improwizowanymi zakładami w rodzaju „kto szybciej, więcej potrafi wypić".

Klub zamknięto.

3. PO CO CZEKAĆ NA MALARZY?

— Opadają człowiekowi ręce — skarżył się młody sekretarz — my chcemy mieć swój klub.

Wizja lokalna klubu wypadła zdecydowanie na jego niekorzyść. Gdyby nie emblemat ZMS, ten lokal mógłby z powodzeniem pretendować do miana poczekalni dworcowej na emeryturze lub knajpy w czasie remontu: dwie ściany w pseudopicasowskie czarno-białe trójkąty z wmontowanym w nie zamorskim pejzażem — palmy, lazur nieba i morza, żagiel, słońce; nie sposób zapamiętać szczegółów, tak są bardzo typowe dla niewyżytej fantazji jakiegoś odpustowego malarza.

WOLNA GHANA

(Dokończenie ze str. 1)

mieszanina różnorodnych obyczajów i wierzeń religijnych.

Dnia pewnego na jednym z placów śródmieścia natrafiłem na niecodzienne zbiegowisko. Tłum gęstym pierścieniem oblegał grupę tańczących kobiet, rozebranych poza granice przyzwoitości; ich prawie nagie ciała ozdobione były za to malaturą, przypominającą tapetę w różnokolorowe groszki. Taniec polegał na pracowitym kiwaniu biodrami, zgodnie z rytmem tamtamów, w które waliły zawzięcie również kobiety, tyle, że w sędziwym już wieku, i na szczęście, ubrane. Tanecznice miały na głowach słomiane kapelusze o płaskich denkach; co chwila odrywał się ktoś z tłumu i rzucał na wierzch kapelusza monetę, albo przyszpilał do niego banknot. Całą tę imprezę, długotrwałą i sprawiającą wrażenie próby sprawności fizycznej tańczących, obserwowała gromadka młodzieńców wystrojonych z miejska, nawet z niejaką znajomością mody włoskiej. Niewdzięczni ci widzowie rechotali ze śmiechu i wykrzykiwali jakieś komentarze, prawdopodobnie mocno szydercze. Jeszcze grubiej klęli, często gęsto po angielsku, kierowcy Mercedesów i Opli-Rekordów, usiłujący przedostać się przez ciżbę. Zwróciłem się do kogoś z gapiów z prośbą o wyjaśnienia; wytłumaczyli we wcale płynnej angielszczyźnie, że chodzi o stary obyczaj plemienia Ga, tutaj praktykowany również intensywnie, jak gdzieś w interiorze. Dziewczyny kilkunastoletnie, które właśnie stały się kobietami zdolnymi do macierzyństwa, w ten sposób demonstrują swoją gotowość do wstąpienia w związki małżeńskie. Drobne datki ze strony

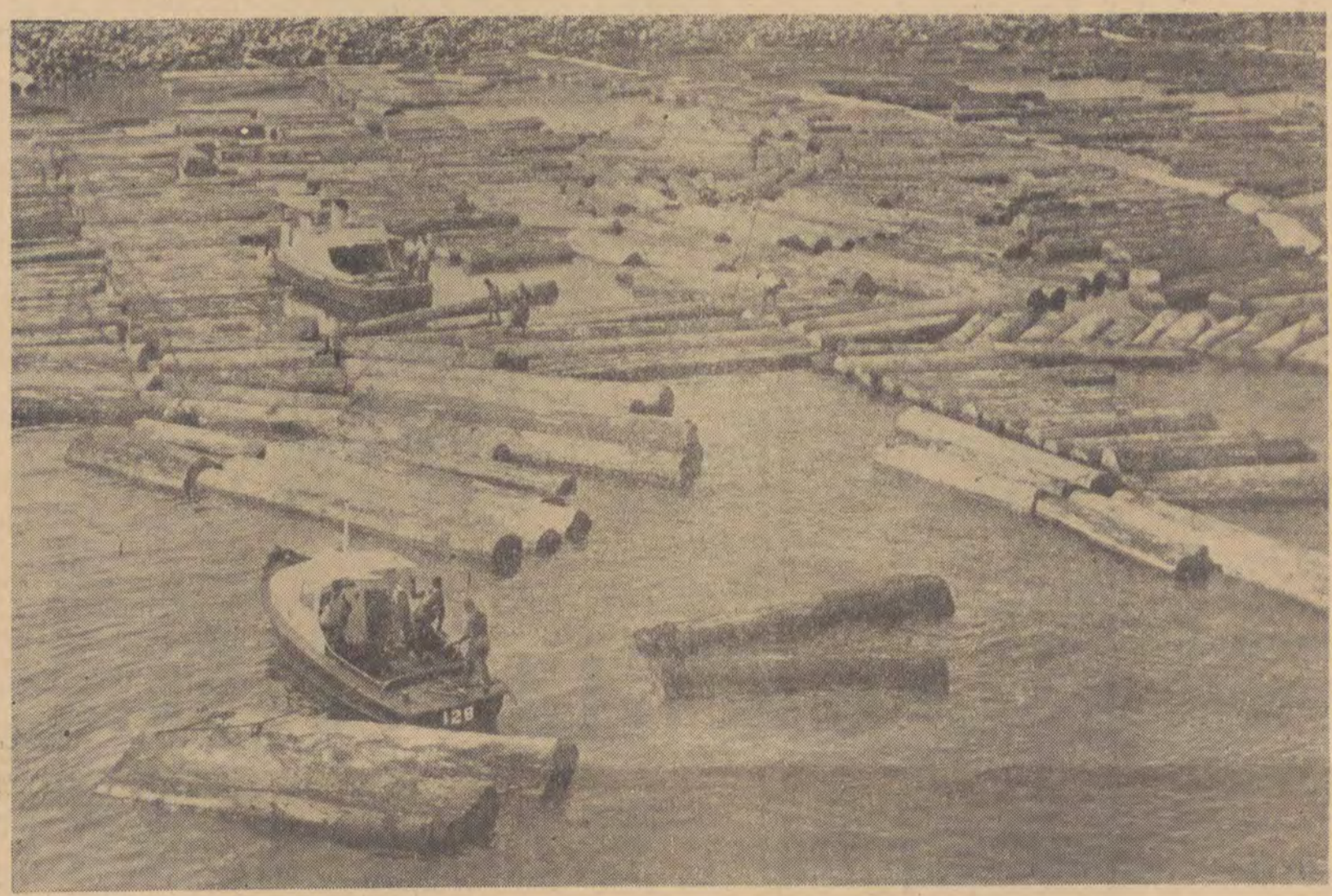

Port w Takoradi

krewnych, to zaczątek przyszłego posagu.

I teraz sobie wyobraźcie: w Akrze współżyją przedstawiciele kilku plemion, a przynajmniej trzech najliczniejszych: Ga, Awe i Franti. Trzy grupy obyczajowe, silnie przywiązane do swoich obrzędów, trzy dialekty, przy czym Awe i Fanti na tyle odrębne, że ich przedstawiciele nie rozumieją się między sobą wcale.

I to wszystko byłoby jeszcze fraszką, gdyby w grę nie wchodziły... różnice religijne. W Gwinei pod tym względem jest spokój: prawie cała ludność (90 proc.) wyznaje islam. W Ghanie według oficjalnych statystyk, mamy 50 proc. pogan, czyli animistów, 25 proc. mahometan i ostatnie 25 proc. chrześcijan, różnych wyznań — protestantów, katolików, metodystów, adwentystów dnia siódmego etc. etc. Jedna z głównych ulic w Akrze zwie się Pagan Road, opodal niej natrafimy na meczet, a z kolei o kilkadziesiąt metrów dalej — na kaplicę Adwentystów DS. W tym labiryncie religijnym Europejczyk musi poruszać się z dużą ostrożnością, aby nikogo nie urazić i zarazem nie wyjść na głupca, nie znającego terenu.

Szedłem kiedyś ze znajomym marynarzem zalesionym przedmieściem Akry. W krzakach dostrzegliśmy naraz stado dzikich małp, co dla nas było równie niezwykłą sprawą, jak pewnie dla małp widok Europejczyków. Zrazu wykrzywiały się do nas bezczelnie, później, znudzone skryły się gdzieś w krzakach. Chcieliśmy je spłoszyć, pobudzić do skoków, rzuciliśmy kamieniem w pień najgrubszego drzewa. W tym momencie wyłonił się znienacka jakiś Ghanejczyk, który obłożył nas stekiem angielskich wyzwisk. Okazało się od razu, że nie jest to bynajmniej przedstawiciel Ligi Ochrony Zwierząt, lecz właśnie animista. Małpy są święte! Gdybyśmy mu na czas nie wytłumaczyli, że odległe nam były jakiekolwiek złe zamiary wobec świętych małpiszonów — kto wie jak by się ta awantura skończyła... Animiści wierzą, że dusza ludzka wciela się w zwierzęta — w małpy, kajmany, węże boa. Wierzą także, w geniusze drzew i roślin. Wierzą w fetysze — w drewniane kloce z ludzką twarzą, wierzą w ju-ju czyli w talizman, którym może się stać każdy przedmiot, odpowiednio „wyświęcony" przez czarownika.

No, dobrze — a cywilizacyjny polor wielkiego miasta? Czy nie łagodzi tych wszystkich wierzeń i przesądów? Na razie, jak się wydaje, jeszcze w małym stopniu. Ofiary rytualne z ludzi należą wprawdzie do dalekiej przeszłości i tylko niektórzy podróżnicy poszukujący „pieprzyka" do swoich reportaży, odnajdują jeszcze gdzieś płaskie kamienie ofiarne, jakoby wciąż jeszcze używane. Ale skądinąd... Jeden z polskich korespondentów w Akrze, pan U., opowiadał mi o kapitalnym wprost wyznaniu, jakie poczynił mu pewien wyższy urzędnik ghanejskiej spółdzielczości; ten człowiek nie może być zraniony kulą, ponieważ dokonał na swoim ramieniu pięciu nacięć i ranki napełnił pewną miksturą, całkowicie uodparniającą na strzał broni palnej! Wypada dodać, że ów ghanejski Janosik pełni na co dzień odpowiedzialną funkcję określoną tytułem: „educational officer". Wiara w ju-ju i czarowników jest podobno bardzo popularna nawet wśród niektórych dygnitarzy na wysokim szczeblu — tak przynajmniej zapewnia John Gunther w znanej swojej książce...

Niemniej zaskakująca była czasem postawa muzułmanów, tu także trzeba liczyć się z każdym gestem i każdym słowem. Gwoli prawdzie wypada tylko dodać, że praktyki muzułmańskie nie są zbyt skomplikowane i w ciągu pół godziny można je — we własnym interesie — doskonale zapamiętać... Na terenach leżących na południu Sachary, wyznaje Islam 90 milionów ludzi, ale Ghana, jak widać z danych statystycznych, znalazła się jakoś na krańcach tego wpływu, posiada stosunkowo małą liczbę wyznawców Mahometa. Nie będę więc akurat w tym miejscu zajmować się nim i przejdę od razu do sprawy następnej...

Chrześcijaństwo, a raczej sekty i sekciki. Wyprawiło się w swoim czasie sporo misji, głównie protestanckich. Przedstawiciele poszczególnych kościołów nigdy nie żyli ze sobą w zgodzie, nawet w swoich metropoliach, łatwo więc sobie wystawić do jakiego współzawodnictwa i do jakich awantur doszło na tle werbunku „czarnych dusz". W tych warunkach — przykrych niesnasek rodzinnych pomiędzy głosicielami tej samej w zasadzie wiary — aż dziwne się wydaje, że jednak chrześcijaństwo zdobywało zwolenników. Rot się teraz w Akrze od kaplic, kapliczek i kościołów, od plakatów wzywających na kazania i odczyty, podczas których uważny i bezkrytyczny tłum czarnych wyznawców poznaje „jedynie skuteczne" sposoby przedostania się do nieba. Niewątpliwie mają rację ci, którzy utrzymują, że u podłoża rozwoju chrześcijaństwa leżał bunt przeciwko ustrojowi plemiennemu.

Tak więc przedstawia się Akra od strony obyczajów i wierzeń. W sumie melanż kompletny, mozaika światopoglądów. Przybysz zadaje sobie pytanie, w jaki sposób tak zróżnicowane społeczeństwo stanowi mimo wszystko pewną spoistą całość, w jaki sposób unika wzajemnych zadrażnień i zgrzytów. Kilka czynników wydaje się działać zespalająco.

Po pierwsze, pamiętajmy o tym, że wszystkich mieszkańców miasta ogarnia wpływ cywilizacji europejskiej, którą — chcąc nie chcąc — przyniósł tutaj i zaszczepił kolonializm. Nikną obyczajowe różnice na tle wspólnego podziwu dla samochodów, maszyn i wielopiętrowych budynków, słowem dla techniki, dla r o z u m u i jego możliwości. Trudności lingwistyczne zmiejszyły się także, ponieważ władca kolonialny wprowadził w powszechne użycie swój własny język i mimowolnie przyczynił się do zjednoczenia Ga, Fanti i wielu innych. A religia? Istotne jest najpewniej to, że wszyscy ci muzułmanie, adwentyści, badacze Biblii — w gruncie rzeczy nadal pozostali poganami: bez względu na przynależność wyznaniową, wierzą w ju-ju. Po prostu są Afrykanami, tutaj zaś w Afryce, w tym królestwie natury nieprzychylnej człowiekowi, niełatwo na razie wyzbyć się wiary w dobre i złe duchy. Miejmy nadzieję, że talizman i fetysz staną się niepotrzebne, gdy w powszechniejsze użycie wejdzie penicylina i traktor.

I na koniec jeszcze jeden element unifikujący — narodził się on już w nowych czasach. Wspólna walka o rzeczywistą niepodległość i jej utrwalenie, o regulowanie — czasem radykalne a czasem powolne i przemyślne — wpływów kolonialnych. Kto wie, czy ta ostatnia sprawa, wiążąca się z powszechnym zaufaniem do swoich partii politycznych i jej przywódców — nie odegrała roli najważniejszej...

MIROSŁAW AZEMBSKI

---

kilkanaście stolików pookrywanych obrusami — styl, kształt, gatunek — prosto „made in Gospoda Ludowa"; pokoik z tyłu klubu zawalony rupieciami.

— Na pierwszy plan pójdzie remont. Generalny remont klubu oraz sprowadzenie nowych urządzeń. Cóż, kiedy czekamy na malarzy od dwóch miesięcy. Są podobno trudności z funduszem. Partia nie chce nam pomóc.

Przepraszam, czyj to klub — partii, czy zetemesowski? Zgoda, że na urządzenie wnętrza potrzebne są pieniądze. Lecz remont? Co to właściwie znaczy — „czekamy na malarzy od dwóch miesięcy?"

Drugi sekretarz ZMS, siedzący za biurkiem nie przekracza dwudziestu pięciu lat. ZMS w Łasku liczy około 400 członków, wiekiem określonym przez status organizacyjny. Czyżby nie dało się znaleźć ludzi spośród tych 400, którzy własnymi siłami przeprowadzą remont, bądź co bądź swojego klubu? Trochę mnie to denerwuje, więc powiadam:

Co prawda, taki remont przydałby się i waszej siedzibie zefemesowskiej. Fotele i dywany — to rzeczywiście przesąd burżuazyjny, ale na przykład: trochę farby i pasty na podłogę? Czysty papier na biurku? Sekretarz mówi jednak tylko o klubie.

— Chcemy, żeby od tego sezonu klub wyglądał inaczej. Zewnętrznie i organizacyjnie. Zwykłe wieczorki taneczne — dlaczego nie mielibyśmy tańczyć, posiadamy własną orkiestrę i adapter — ale tylko w kulturalnej atmosferze. Zlikwidujemy przyzwyczajenie do kieliszka. Ani jednej butelki wina! Zamiast alkoholu — kawa i ciastka. Zadnych brudnych koszul, zarośniętych twarzy. Nikt nie wejdzie do naszego klubu jak do gospody ludowej zaniedbany, nieogolony. Przecież to ważne — estetyka. W miejsce sportowych zakładów będziemy organizować konkursy, albo zgaduj-zgadule. No i kabaret. Ten powstanie na nowych zasadach, zwerbujemy nowych członków.

4. ŻYCIE BEZ KIELISZKA

Tyle z historii, teraźniejszości i przyszłości klubu zetemesowskiego w Łasku. Teraz kolej na pytania. Aktyw ZMS w Łasku jest niedopowiedni, czy po prostu nie posiada jeszcze doświadczenia organizacyjnego; szamoce się z trudnościami, i wobec tego należy mu pomóc. Słuszne jest na pewno to drugie. Kierownik klubu Eugeniusz Iwannicki dysponuje wszystkimi walorami dobrego kierownika, niemniej jest tylko jeden, a jednostka nie starczy za zespół. Zapał, ochota, entuzjazm wymagają bodźców i środków. Przewodniczący i drugi sekretarz — też jeszcze za mało, jeżeli się zważy, iż do ich obowiązków należy nawet... pisanie przemówień na otwarcie roku szkolnego i wygłaszanie ich w szkołach Łasku i powiatu. Aby sprostać ambitnym planom utworzenia nowego klubu z kabaretem, jednocześnie przeciwdziałając niechętnej opinii w miasteczku, trzeba bezprzecznie mieć silny zespół aktywu, który nie zadowoli się „czekaniem na malarzy".

Łask jest małym miasteczkiem, które z jednej strony dysponuje JESZCZE wszelkimi atrybutami ciasno pojmowanego prowincjonalizmu, a z drugiej — oddziaływanie prasy, radia, telewizji, bliskość wielkiego ośrodka przemysłowego i kulturalnego — Łodzi, przyśpieszają rozpoczęty JUŻ proces przyjmowania się nowych wzorów społecznych, obyczajowych i kulturalnych. Nieustanne ścieranie się JESZCZE z JUŻ, konflikt starego i nowego stanowi jeden z przejawów zachodzących w naszym społeczeństwie wszechstronnych przemian społecznych, których działania nie da się uniknąć nawet za chińskim murem. Łask zaś nie posiada na swój prywatny użytek chińskiego muru, natomiast dużą ilość abonentów telewizyjnych. Chociaż JESZCZE zdarzył się wypadek publicznego pobicia córki przez matkę za jej uczestnictwo w okresie adwentu w występach kabaretu, to JUŻ miejscowy deptak w czasie mszy nie świeci pustkami, spotkać na nim można wcale nie sporadycznych przechodniów.

Jak Polska długa i szeroka wszędzie młodzież zakłada swoje kluby, kawiarnie, piwnice. Pedagodzy nie biją z tego powodu na alarm, bo to może przynieść korzyści. Kluby są modą, ale i dzięki powszechności zjawiskiem społecznym, bynajmniej nie z gatunku przemijających hola-hoopów i im podobnych. Mają wszystkie szanse, aby stać się trwałymi instytucjami o wyznaczonej roli społecznej, wychowawczej i kulturalnej.

Dlatego klubowi w Łasku nie wolno odmawiać prawa do istnienia, należy jedynie mu pomóc w zorganizowaniu się, wesprzeć doświadczeniem, a wtedy z pewnością nie powtórzy się „pewien okres".

EWA OSTROWSKA

MAREK WAWRZKIEWICZ

Rozmowy o naturze

Temat pierwszy
Romawiamy o słońcu kiedy ciemność
Albo
W słońcu słuchamy wierszy symfonii lub ciszy
Jakże różna natura
Znaleźć się w tych formach
Chcemy gdy się szukamy
Jak różne szukania
Z jednej strony poezja i muzyczne gwary
Obok zaś my jesteśmy
Jakże inne formy
Kiedy my się znajdziemy
To jest ta niepewność
Rzeczy małych lecz ważnych Niepokój rozdziału
Niepokój jabłka które przekrojone
Już toczyć się nie może
Fizyka zepsuta
A więc czy się znajdziemy
Zapomnieć nie można
O stałości i tytania Rozdziale Naturze
Formach tak bardzo różnych o rzeczach i trwaniu

Temat drugi
Zbliż się o dotyk lekki
Czy już jesteś blisko
Czy to ty właśnie jesteś Twój oddech i ciało
Czy to jest tylko ciemność
Czy ten ból którego
Muzyka nie zagłuszy kołdra nie otuli
Ten ból który jest w początku i w końcu
Także w miejscu dotknięcia i w koniuszkach palców
Rozpierający wnętrze śliskie i czerwone
Co jest tym bólem powiedz
Powiedz kto jest bólem
Gdzie jest gniazdo dla myśli
Gdzie jest myśl

Intermedium pierwsze
Droga między płomieniem i echem płomienia
Między nadmorskim piaskiem i zaklęciem w wierszu
Między falami dna a białością mewy
Drogi zawarte w środkach odległości
Matematyka ziemi którą ubierają
Pory roku i wiatry lodowiec i człowiek

Zapomnieć geografię Albo wiedzieć tylko
O czczości wynalazków Trwaniu dla minięcia
Nieistniejącym sensie
Tak Dla przemijania

Temat trzeci
Mówisz
Od wytrysku światła zielonego
Czas swój liczę Po zielonym świetle
Lekkie przejście
Lub na jego trwaniu
Jest czas przejścia
To jest ręka twoja
Światło
Ręka
Tak wielopalczaste
Że jak ręka Albo przejścia rozkaz

I mówisz
Zielony ocean
Deklinuję ciebie przez zieloność
Kiedy mnożą ciebie przez zieloność
To jest człowiek
Błyskawice bieli
Na otwarcie wspólne dwóch par oczu
To jest życie
To parzysta karta
Las otwarty Otwieranie lasu

I mówisz jeszcze
Las przechodzi na stronę zieloną
Gdzie przejdziemy Na planecie bieli
Kraj zielony i kraj snu obłego
Gdzie znajdziemy razem niespokojne

Intermedium drugie
Fala się z ruchu otworzy Otwarcie kwadratu
Z materii przezroczystej Zgiełk jasny i pióro
Pióro barwy popiołu na wietrze wiosennym
Taka ptasia synteza Wiatr i dialog z ptakiem

Bez przedmiotu prostota Liczy się początek
Chwila światła Przestroga Grudka żalu szara
Liczy się koniec tylko Oddech zachodzący
Droga między chwilami Odległość z pozoru
Liczy się pozór tylko Zatem nic się liczy
Piasek w oczy Wiatr w oczy Ziarno sensu twarde
Konkret wyraźny mały lub nic tak ogromne
Jak drugie ja w człowieku Jak pozór w pozorze

Temat czwarty
Ułóżmy raz jeszcze ciepłe z rąk naczynie
Niech tutaj czas upadnie
Sypiąca się chwila
Wiek jak pestka upada na ręce złożone
Biją wszystkie zegary
Epidiaskop świata
Wyświetla jeden obraz
Prawda niewątpliwa
Jest w śniegu zabrudzonym
W ogrodzie białości
Splamionym luną spóźnioną i wiosny nadejściem
Prawda niewątpliwa jest w otwarciu drzewa
Krystalicznym powietrzem
W umieraniu ludzi
Lub w ludzkich narodzeniach prawda niewątpliwa
A my
A ja z tobą
My
Gdzie my jesteśmy
Po której stronie prawdy
I w jakim pozorze
W jakiej barwie świata mamy swe pałace
Gdzie są sny sny nasze
Sny świadków niecierpliwych cierpliwego czasu
Tak niełatwo się znaleźć
znaleźć usta miękkie
Ciepłe palce i oddech w noc taką ogromną
Strumień włosów
Pragnienie
I wolność od pragnień
Wiedzieć koniec i drogę do końca wiodącą

B. Jaklicz, F. Żukowski i A. Zomer w scenie na statku
Fot. G. Puciato

STANISŁAW KASZYŃSKI

„DARK GLORY"
czyli
umiejętność wzruszania

Po raz pierwszy jako recenzent jestem w opozycji do autora i częściowo do teatru. Otóż moi partnerzy są przekonani, że „Dark Glory" jest sztuką z tezą, z ważkim problemem politycznym. Bo skoro jest bomba atomowa i ci, którzy przeciw, to... Niech mi autor daruje kłopotliwą ignorancję. Ja naprawdę nie wiem, o co tutaj chodzi. Kim są ci wszyscy ludzie, gromadzący się w burdelu, kto jest ów facet krzątający się koło baru (Włodzimierz Kwaskowski), zdemonizowany przez aktora w zagubionego humanistę, co znaczy ta jego opowiastka o Chińczyku? Takich pytań byłoby sto. Aż dziwne, że Obidniak, który panował dotąd nad materiałem obyczajowym wchodzi niespodziewanie w taką mgłę, filozofuje, sypie komunałami, zdumiewa spostrzeżeniami nad istotą bytu i człowieczeństwa, które znamy, och, znamy. Jest coś niepokojącego w wyobraźni naszych dramaturgów, którzy ponad wszystko cenią sobie albo eksperyment, albo głębię, z których wychodzą dziwolągi i pozory. Mój Boże, a zwyczajnych kamaszy nikt nie umie ukuć! O cóż więc chodzi, proszę państwa? Kiedy autor sprawdził nasze poczucie czasu, dowiadujemy się, iż kapitan Bill (Feliks Żukowski) przygotowuje statkiem wyprawę w zabroniony rejon doświadczeń z bombą atomową. Zerkam teraz na program i czytam: „Cóż możemy przeciwstawić śpiącej na razie potędze zniszczenia? Chyba tylko najprostszą istotę człowieczeństwa, to co nam pozwoliło tyle razy pokonać fatalne moce historii: przyjaźń, miłość, poszanowanie godności osobistej, tolerancji i wyrozumiałości". Tymczasem Bill zbiera przypadkowych pasażerów — akurat dwie parki — którzy już nie przypadkiem rozkochują się w sobie na fest. Ostatecznie podróżowało się nieco po morzach południowych i wiadomo, jak łatwo w takich okolicznościach święty ogień miłości. Spodziewamy się, że i tu tak będzie, Ale tytuł?! No właśnie. I Obidniak, człek przecież bywały i zdolny dramaturg, a nie swawolny Dyzio, z kapitalnego pomysłu szalowej „przygodówki" robi problem. Preparuje wielką metaforę, szeleści podtekstami, dryfuje, opukuje dno i w końcu wynurza się na maszcie patetycznego symbolu. To niezwykła przejażdżka — mówi nam autor, a teatr każe patrzyć przez godzinę na smutne dzieło stoczniowca J. Rachwalskiego — o, skądże, to protestacyjny marsz.

A kiedy wszyscy radujemy się w duchu, że jednak będzie wszystko o'key, że jednak ładacznice miewają zasady, a w zmaltretowanych urzędnikach bije namiętność don Juana, słyszymy groźne bum! I ronimy łzy (słowo honoru, sam widziałem). I tu właśnie tkwi złudzenie autora, częściowo i teatru. Ta piękna śmierć, eutanazja kochanków, poprzedzona ich katarzis — oczyszcza ich w myśl sugestii autora, manifestacyjny charakter podróży — nie pełni w tej sztuce spiętrzonych efektów melodramatycznych założonej funkcji politycznej. Bo, moi państwo, kiedy tak się buduje akcję i kształtuje bohaterów, finał jest nieuchronnie jeden: szlachetnie sentymentalny. Oklaski, które dostają wykonawcy i autor, są jedynie wyrazem szczerego współczucia widzów wobec kochanków, dla których los okazał się tak okrutny. Publiczność przeżywa ich nieszczęście, nie obchodzą jej przyczyny. W tym wypadku bomba atomowa jako sprężyna tragedii gra tę samą rolę, co sztylet lub trucizna w starej poczciwej dramie. Tak oto dokonało się podwójne oczyszczenie: bohaterów i widzów, nas wszystkich. Obidniak wykorzystał celnie potężny i bodaj czy nie wieczny atrybut teatru: sztukę wzruszania. I mimo wtórności problemowej (np znacznie lepiej poradził sobie z podobnym zagadnieniem S. Stampfl w „Nie ma nieznanych wysp") i pewnej nieporadności technicznej (np. czy wolno „więzić" tak znakomitego aktora jak Feliks Żukowski przez 59 minut przy sterze?) Obidniak odniósł sukces.

A teatr? Teatr włożył sporo trudu, by rzecz rozegrać w tej tonacji emocjonalnej, w jakiej rozpisano role. Inscenizator i reżyser (F. Żukowski) uległ podszeptom tekstu i zademonstrował brutalizm pokazywany soczyście, w wydaniu paraamerykańskim, z elementami musicha'u (tutaj żenująca próbka smaku choreografa, coś dla bardzo ubogich) oraz dużo sentymentalnego ciepełka. Gdyby rozkołysać spektakl, rezygnując m. in. z podejrzanej atmosferki wyczekiwania, i wprawić go w szybsze obroty, gdyby przydać troszeńkę cynizmu, wrażenie byłoby pogodniejsze. Że jednak przedstawienie ma swoją konstrukcję i logikę, zasługa to aktorów. Przede wszystkim Alicji Zomer, Barbary Jaklicz i Feliksa Żukowskiego. Ta trójka dźwiga odważnie i przekonywująco ciężki bagaż problemowy, ale wymienia go, i słusznie, na lżejsze pakiecik! czułości i liryzmu. Ich postacie mają kształty żywe i sugestywne Chciałbym tu jeszcze dać pochwałę prostoty i wdzięku. O tym się rzadko pisze, a przecież teatr stoi pięknością fizyczną aktora. Nieczęsto mamy okazję podziwiać tak zgrabne i urocze dziewczyny jak Alicja Zomer. Jej młodość, którą obdarza swoją Kate, uprawdopodabnia zmyślenie autorskie, a jej umiejętność czyni z tej osóbki pełnokrwistego człowieka.

*) Karol Obidniak, „Dark Glory", sztuka w 3 akt. inscen. i reż. Feliks Żukowski, scenografia Józef Rachwalski, choreografia Feliks Parnell, oprac. muz. Piotr Hertel i Jan Kowalczyk, premiera 30 września 1961 r. w Państwowym Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi.

SEDNO RZECZY

MARIAN PIECHAL

ZIEMIA WOŁA RATUNKU

Przed czym? Przed zagładą. Od czego? Nie, nie od czego, ale od kogo? Od człowieka. Bo gdy się powie, że od bomby nuklearnej, to też się właściwie powie, że od człowieka. Człowiek bowiem jest i wynalazcą i jedynym dyspozytorem tej bomby. Ale ja tu nie myślę o żadnej bombie, tylko o innych mniej efektownych, lecz nie mniej efektywnych środkach zagłady życia na ziemi, których przyczyną jest (i jedynym odwrócicielem może być) człowiek.

Myślę tutaj o człowieku jako gospodarzu ziemi, jedynym właścicielu i dysponencie jej dóbr życiowych, jedynym władcy i włodarzu wszystkiego, co żyje, najwyższej instancji pod tym względem w okręgu ziemskiego stworzenia, jedynej woli i jedynego rozumu, których decyzje są ostateczne i od których odwołania nie ma. Przypuśćmy, na przykład, że człowiek postanowi w pewnym momencie ze względu na swoje rzekome dobro o konieczności absolutnej zagłady psów na ziemi. Wyraz człowiek oznacza tutaj w sensie umownym zbiorową decyzję społeczności ludzkiej. Czy jest jakakolwiek możliwość uchylenia tej decyzji czyli uniknięcia przez psy absolutnej zagłady? Nie ma! Otóż tak jest z każdą inną formą życia na ziemi. Człowiek jest absolutnym ich panem. Jest także tym samym panem samego siebie. Czy godnym tego władztwa, to znaczy dość rozumnym i racjonalnie przewidującym?

I tu właśnie potykamy się o pierwszy szkopuł. Nie jesteśmy tego tak absolutnie pewni. Władztwo człowieka góruje nad jego rozumem. Potęga jego panowania nad przyrodą jest większa od potęgi panowania człowieka nad samym sobą. I w tym kryje się największe niebezpieczeństwo dla życia na ziemi w ogóle, a więc dla życia człowieka przede wszystkim. Ani drapieżne zwierzęta, ani jadowite gady, płazy i owady, ani trujące rośliny, ani żadne choroby, bakterie i wirusy, które ostatecznie opanowujemy i w najbliższym czasie opanujemy całkowicie, nie grożą nam zagładą, ale niebezpieczne zabawy samego człowieka z narzędziami swej własnej zagłady. Największą chorobą człowieka i wszystkiego, co żyje na ziemi, jest obecnie sam człowiek. Oczywiście jaki człowiek? Człowiek nie dość panujący nad swoją wolą i nie dość precyzyjnie posługujący się nakazami własnego rozumu.

Jest wstrząsający wiersz Adama Mickiewicza, napisany tuż zaraz po ukończeniu „Pana Tadeusza", wiersz bez tytułu, o którym nie mówi się w szkole, a uczeni poloniści mało się nim zajmują, zaczynający się od słów: „Broń mnie przed samym sobą". Jeśli przy którymkolwiek utworze naszego wieszcza może być sensowna mowa o jego genialnie przenikliwym jasnowidz-

RYCERZE ZIELONEJ ŚCIEŻKI

Dalszy ciąg ze str. 1

wał". Pierwszy mój wyjazd za granicę. Zaczynam studiować przepisy..

OD REDAKCJI: ostatnio zostały wprowadzone dwa nowe przepisy w sprawach celnych. W pierwszym przypadku chodzi o usankcjonowanie prawa zwolnień od opłat celnych stosowane już od dłuższego czasu wobec turystów na terenach objętych polsko-czechosłowacką konwencją. I tak osoby, poruszające się na terenach zwolnione są od opłat celnych za przewożone przedmioty codziennego użytku oraz pewną ilość artykułów spożywczych niezbędnych w czasie trwania wycieczki. Można więc zabrać ze sobą bezpłatnie m. in. do dwóch kilogramów mięsa i wyrobów mięsnych, pół kilograma czekolady i wyrobów czekoladowych, a także — jeśli w grę wchodzi osoba pełnoletnia — 0,25 litra napojów alkoholowych (prócz spirytusu), 200 papierosów lub odpowiednią ilość cygar czy tytoniu.

Nowe rozporządzenie wyraźnie mówi, że zwolnione z opłat celnych będą tylko artykuły, których wartość nie przekroczy 50 proc. całej kwoty dewiz przypadających na okres rzeczywiście przebyty za granicą. Wprowadzone zmiany w taryfie celnej przywozowej obowiązują od 1 października br., a zmiany te noszą dwojaki charakter: z jednej strony wprowadzają do taryfy celnej właściwą nomenklaturę poszczególnych towarów, a z drugiej kładą finansową tamę dla spekulacji uprawianej pewnymi towarami zagranicznymi.

PONIEDZIAŁEK, 17 WRZEŚNIA, FRANCISZKA.

Wszystkie rozmowy w biurze toczą się wokół wyjazdu. Nastąpił wyraźny podział na „wtajemniczonych" i nowicjuszy. Ci ostatni przechodzą bardzo intensywne szkolenie i wysłuchują różnych praktycznych uwag. Trudna wiedza. A już najgorzej to z tymi „relacjami". Dlaczego niby „rzeszowska" jest lepiej notowana od „kujawskiej" lub „piwnej". Jedno jest pewne — papierosy trzeba zabrać. Podobno bez nich jesteśmy bez szans. Sam nie palę, ale pani Dziuba mówi, że takie hopy można zrobić na „Piastach" — Jak nie masz pan fartu - powiedziała — to weź pan dla mnie. Ten czarny z tech nicznego też mi proponował. Mówi, że na miejscu „się wypłaci"...

Brać i przebrać, tylko od nas, czego Ministerstwo Handlu Zagranicznego zapomniało sprzedać — znajdziecie w naszych... „turystycznych" plecakach i torbach. Jedyna, konwencyjna okazja!

20 WRZEŚNIA, ŚRODA, EUSTACHEGO.

Gwałtowna zmiana nastrojów. Zrobili nam zebranie i kierownik wycieczki powiedział, że nie możemy hańbić imienia Polski Ludowej, a poza tym jedziemy w celach turystyczno-poznawczych Kto się będzie zajmował handlem poniesie konsekwencje. Wywołało to oburzenie. Żeby zaraz takie insynuacje! Najwięcej to pyskował ten czarny. Wszyscy byli za kierownikiem..

Tak wygląda „polski" (niestety!) rynek. Miejsce akcji — Smokovec (CSRS). Stąd też najczęściej „rycerze zielonej ścieżki" trafiają do... komisariatu czechosłowackiej milicji!

Wieczorem zajrzałem do encyklopedii by się upewnić jak to jest z tym handlem. Pisze: handel (z niemieckiego) gałąź gospodarki narodowej obejmująca obrót towarowy pomiędzy produkcją i spożyciem. Charakter i rola handlu jest historycznie zmienna. W warunkach KAPITALISTYCZNYCH (podkreślenie moje) handel prywatny rozumiany jest jako zawodowe kupno i sprzedaż towarów dla osiągnięcia zysku. W warunkach SOCJALISTYCZNYCH (podkreślenie moje) jego celem jest zaspokojenie potrzeb konsumenta.

Nie ma to jak encyklopedia. Wszystko jasne i zrozumiałe!

23 WRZEŚNIA, NIEDZIELA, TEKLI.

Jedziemy. Zbiórka przed autokarem na ulicy Traugutta o godzinie dziewiątej rano. Najpierw do Zakopanego, a później przez Łysą Polanę do Tatrzańskiej Łomnicy i Smokovca. Życie jest piękne!

24 WRZEŚNIA NIEDZIELA, MARII.

Nie mam czasu notować bo tyle wrażeń. Stoimy już na Łysej, przed naszym posterunkiem WOP. Czekamy na kontrolę paszportowo-celną.

OD REDAKCJI: tylko Adamowi i Ewie opuszczającym raj udało się przejść jego granice bez kontroli paszportowo-dewizowej. Po pierwsze — prawdopodobnie dlatego, że nie mieli gdzie cokolwiek schować, a po drugie — diabeł lub sam Pan Bóg musiałby wziąć na siebie rolę celnika.

BEZ DATY.

Pękła bomba! Celnik po naszej stronie nie uwierzył skrupulatnie wypełnionym deklaracjom. Zaczęło się rozpakowywanie bagaży. Notuję z pamięci więc chyba coś opuściłem: pan K. miał literek „czystej", pięć kilo kabanosów, piędziesiąt dodatkowych paczek papierosów; T. — podobna porcja, tyle że urozmaicona trzema sweterkami z „Olimpii". Znalazły się też cztery dodatkowe zegarki. Właściciel się nie znalazł. Nie wiedziałem, że nasze „Błonie" mają tak doskonałą opinię za granicą. Dziuba protestowała, gdy jeden z celników zaczął pruć żyletką ranny pantofelek. Na szczęście nic nie znalazł. O innych sprawach wspomnę marginesowo: 20 tabliczek czekolady zdołano uchować rozdając „tymczasowo" pomiędzy kilka osób, ćwiartka spirytusiku została doprawiona własnoręcznie przez celnika soczkiem pomidorowym i w charakterze „pomidorówki" nadawała się już do zagranicznego użytku. Straty własne, pardon — wycieczki: litr „czystej eksportowej" — celnik nie uwierzył, że to lekarstwo dla dzieci chorych na uszy, trochę kiełbas, to znaczy parę „obarzanków" kabanosów", tysiąc sztuk papierosów różnych marek. Mimo to humory nadal dopisują. Przeważa opinia, że nam się udało. Kontrola celna po naszej stronie trwała trzy godziny, po czeskiej — 15 minut.

OD REDAKCJI:

Imć Aleksander Brückner w swoich „Dziejach Kultury Polskiej" tak pisze o szlakach handlowych, które prowadziły przez nasz kraj: „Do Gdańska wywożono duże ilości zboża, maszty okrętowe, a na Ruś sól oraz inne wyroby rzemiosła. Z kolei stamtąd kupcy nasi przywozili futra, wschodnie materiały, a z Węgier wina. Przez Gdańsk wracały do Polski korzenie i inne wonności przez kupców holenderskich dostarczane".

Jak to się jednak te czasy zmieniają. Geografia handlowych kontaktów Polski uległa ogromnemu urozmaiceniu. Zmienił się także wachlarz wyrobów, które takimi lub innymi drogami, niekoniecznie za pośrednictwem Ministerstwa Handlu Zagranicznego trafiają na obce rynki. Przy czym są towary, które mają wyraźne uprzywilejowane stanowisko. W kierunku południowym „idą": sweterki, wędliny wszelkiego typu czekolady i cukierki, papierosy, krawaty, koszule non-iron, zegarki. Do naszych sąsiadów za Odrę: tylko artykuły spożywcze. Orientacyjna cena: kilogram kabanosów 20 marek. Mała paczka kawy naturalnej 3—4 marki.

25 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK, AURELII.

Tatrzańska Łomnica. Nocujemy w Domu Turystycznym. Nie dali kluczy od pokojów i mówią, że tylko Polacy się o nie pytają. Dziwne ..

Z wycieczką niedobrze... Nastąpił rozłam. Mieliśmy wczoraj pojechać wyciągiem na jakiś szczyt. Zgłosiło się trzech amatorów, reszta zniknęła z pokojów już z samego rana. Podobno wczoraj wykupili bilety do Smokovca i Popradu. Tam więcej sklepów.

Wieczorem odbieram „komunikaty" z placu boju. Już wiem że przede wszystkim opłaci się kupić buty i to dziecinne lub damskie. Za eleganckie „szmacianki" płaci się tutaj 30 koron. A tam u nas jak obszył płacą po 100 i więcej złotych. Wiem też, że warto kupić maszynkę do golenia, przy czym trzeba tylko trochę pochodzić, bo w pasie konwencyjnym sprzedają tylko stare typy „Alfa" za 130

Nie ma jak wyroby starego Wedla! Tabliczka czekolady w łapkę i... zaraz? Jaka relacja? 19 zł za 20 koron, to znaczy... 3/4 pary rękawiczek ergo (już w Polsce) 100 zł.

Paczuszki „Piastów", ćwiartuchna zgrabnie zapakowanej „Wyborowej", pętko „suchej" lub „myśliwskiej". Wszystko w możliwie „przewiewnym" przezroczystym koszyczku. Jak wiadomo reklama jest dźwignią handlu.

koron sztuka. A w ogóle to ludzie tutaj nic nie robią tylko mnożą i dzielą. Rozglądam też się powoli po miasteczku. Nawet niebrzydkie. Tylko — nie mają pewnych rzeczy. Na przykład ryneczku. Więc — trzeba było urządzić na jednym z placów. Słowacy dali nawet nazwę: Polski Rynek. Nie można powiedzieć — koegzystencja funkcjonuje!

BEZ DATY.

Duża nieprzyjemność Kierownika wezwali do komisariatu czeskiej milicji. Na szczęście chodziło tylko o wyjaśnienia. Po prostu — złapali jedną z naszych, kiedy chciała sprzedać sweterek. Ale w naszym paszporcie mamy już „zapisek": „handlowano artykułami pochodzenia polskiego". Co to będzie na granicy jak to zobaczy WOP?

BEZ DATY.

Niektórzy chcą już wracać. Mówią, że nie opłaci się tutaj dłużej siedzieć. Co mieli — to już załatwili. Kierownik też jest skłonny. Zresztą większość wycieczki nie ma już koron. Zakupy — nie można powiedzieć — wszystko odbyło się planowo. Wracamy.

BEZ DATY.

Granica. Czesi mówią, — na shledanou! Niestety, po naszej stronie było znowu trzy godziny!

* * *

ROZMYŚLANIA PEDAGOGICZNE.

PO PIERWSZE — JAK TO SIĘ JEDNAK ZMIENIŁA PSYCHIKA SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO. JESZCZE ZNOWU NIE TAK DAWNO TRUDNIENIE SIĘ HANDELKIEM NIE NALEŻAŁO DO SPECJALNIE CHLUBNEGO ZAJĘCIA I Z TEGO NAWET TYTUŁU CZEŚĆ LUDZI POZBAWIONA BYŁA PRZEZ DŁUGIE WIEKI MOŻLIWOŚCI WSPÓŁRZĄDZENA KRAJEM. NIESTETY, MYŚLĘ, ŻE NA NIC SIĘ NIE PRZYDA TO SMUTNE „MEMENTO". MOŻE WIĘC NASZYM „NIEKTÓRYM TURYSTOM" WYPADAŁOBY ZAAPLIKOWAĆ DAWKĘ SILNIEJSZEGO LEKARSTWA?

KRZYSZTOF POGORZELEC

INFORMACJE i ZACZEPKI

Niedawno otwarto w naszym mieście nową bardzo pożyteczną placówkę kulturalną — klub rosyjski „Zwienia". Obok wznowionej działalności chóru „Kalinka" przy klubie powstanie zespół dramatyczny.

* * *

Jak się dowiadujemy skierniewiccy handlowcy wpadli na doskonały sposób uprzyjemniania życia klientom niespodziankami, organizując remanenty w kilku sklepach jednocześnie. Dowcip naprawdę dużej (powiatowej) klasy.

Niebawem Wydawnictwo Łódzkie wypuści na rynek księgarski nową książkę Bernarda Sztajnerta pt. „Narodziny Brunona Bundera".

* * *

Każdego dnia miasto nasze opuszcza blisko 68 tys. listów, z czego około 2,5 tys. przesyłek wędruje poza granice kraju. Do Łodzi natomiast z kraju i zza granicy przybywa dziennie 65 tys. listów.

* * *

Pani Jarosława Sakuracka z Warszawy wygłosiła w Klubie MPiK odczyt pt. „Dlaczego nie rozumiemy sztuki abstrakcyjnej". Temat istotnie szatańsko trapujący i do tego stopnia skomplikowany że musiano szukać pomocy aż w stolicy.

Łódzkie Muzeum Sztuki szczyci się (zresztą nie bez podstaw) interesującą galerią międzynarodowej sztuki nowoczesnej. Ekspozycji naprawdę nic nie brakuje poza... choćby jednym obrazem Jerzego Nowosielskiego. Czyżby według znawców z muzeum ten wybitny artysta nie był nowoczesny?

* * *

Zakupy łódzkich handlowców na targach krajowych w Poznaniu zamykają się sumą 300 milionów złotych w zakresie artykułów spożywczych i ponad miliarda złotych w zakresie artykułów przemysłowych.

* * *

W składzie pociągu kursującego na trasie Łódź — Zduńska Wola znajduje się wagon z napisem: „dla młodzieży szkolnej. Nie zapomniano nawet o podziale na „dla palących" i "dla niepalących". Paląca młodzież szkolna narzeka tylko, że nie ma wydzielonych przedziałów dla uczennic z dziećmi.

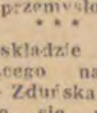

W latach 1961—65 na modernizację starych i budowę nowych zakładów pracy przeznaczono w Łodzi 6 miliardów złotych.

* * *

„Uczniem filozofów" nazwał Janusz Wilhelmi w „Nowej Kulturze" – Jarosława Marka Rymkiewicza, analizując znany wiersz poety pt. „Spinoza był pszczołą". W tym samym numerze znajduje się recenzja Zbigniewa Podzińskiego z tomu wierszy Mariana Piechala.

* * *

Znany radziecki reżyser teatralny Włodzimierz Bortko przygotowuje w łódzkim Teatrze im. Jaracza spektakl „Trzeciej Patetycznej" Pogodina.

J.W.

Nie znasz początku Twego, a czy ludzkie plemię
Wie, od jakiego czasu upadło na ziemię?
Bawisz się tylko ciągle, badając sam siebie.
Cóż robi rodzaj ludzki? W swych dziejach się grzebie.
Twoja mądrość nigdy sama siebie nie dociecze.
A czyliż samo siebie zna plemię człowiecze?"

Każde zdanie w tym wierszu przypomina w niepokojącej swej mocy pierwsze takty V-ej Symfonii Beethovena. „Człowiek większy nad słońce". Któż tak drugi w literaturze świata powiedział o człowieku? Chyba tylko Sofokles w „Antygonie".

Ileż w tym zdaniu heroicznej wprost wiary w nieograniczone możliwości człowieka, w jego potęgę, zależną tylko od jego woli! To zdanie jest więcej, niż piękne. To zdanie przekroczyło granice poezji. To zdanie jest olśniewającym odkryciem prawdy o człowieku i jednocześnie odkryciem prawa, które go obowiązuje pod groźbą utraty człowieczeństwa, a więc ostatecznej jego zagłady. Kto tego nie potrafi dorozumieć się w tym wierszu, ten w ogóle nie umie czytać utworów prawdziwej poezji.

„Broń mnie przed samym sobą" — ileż tu psychologii i gorącej wprost aktualności! Człowiek dzisiaj najwięcej boi się samego siebie — boi się drugiego człowieka. Największą groźbą dla człowieka jest człowiek. Człowiek jest włodarzem bezapelacyjnym całej ziemi, a niebawem i najbliższych planet, ale nie jest włodarzem dość odpowiedzialnym siebie samego. Panuje nad światem, nie panuje nad sobą. Rządzi żywiołami na zewnątrz, ale nie wewnątrz siebie. Twór jego wyobraźni, rozumu i woli alienuje się, uniezależnia od jego intencji i obraca przeciwko niemu, na jego zgubę. Wyjątkowość człowieka wśród świata innych stworzeń jest przyczyną niebezpiecznej możliwości jego własnej zagłady. Oto na czym polega niepokojący tragizm współczesnego człowieka: zaczyna się rozglądać za ratunkiem „przed samym sobą".

Oczywiście jedynym ratunkiem może być tylko całkowite opanowanie resztek nieskoordynowanych dzikich żywiołów w sobie i na zewnątrz. Opanowanie, ale nie ich uśmiercenie. Wszelki żywioł bowiem podobnie jak ogień, woda, powietrze i ziemia, to elementarne źródła wiecznie odradzającego się życia. Nad żywiołami trzeba pewnie i racjonalnie czyli rozumnie panować, ale nie bezmyślnie je unicestwiać. Gdyż zabijając żywioły, zabijamy samych siebie — podobnie też jak nie panując nad nimi.

To przecież człowiek jest dotąd największym pustoszycielem ziemi, na której i z której żyje, odzierając ją z niezbędnych do jego życia żywiołów, na przykład, z żywiołu zieleni. Większość gór w Azji, Europie i Ameryce ogołocił z lasów właśnie człowiek. Jak wykazują badania archeologów i geologów wszystkie dzisiejsze pustynie na świecie, takie jak Gobi w Azji, Sahara w Afryce, nie licząc setki pomniejszych, to były kiedyś kwitnące zielenią, żyzne, pełne kipiącego życia i kultury krainy. Bezmyślność człowieka podcięła w nich życie, dewastując w nich zieleń, zatruwając źródła wód, wytępiając inne stworzenia i zamieniając te krainy z czasem w jałowe ugory, w złowrogie popieliska zagłady. Człowiek jest jedynym stworzeniem na świecie, że tak powiem, wszystkożernym i wszechniszczącym.

Ale z drugiej strony człowiek jest jedynym na świecie stworzeniem posiadającym świadomość celu i celu własnego istnienia czyli jest twórcą i, że tak powiem kultywatorem obowiązujących go idei, wśród nich największej i najważniejszej dziś, bo zbawczej: idei humanistycznej. Ziemia woła ratunku, to znaczy domaga się zapanowania nad nią niepodzielnie takiej właśnie wszechogarniającej wszelkie formy życia idei.

MARIAN PIECHAL

JAN HUSZCZA

MAŁPY W KĄPIELI

Dwa lata temu ukazał się nakł. „Czytelnika" tom satyrycznych wierszy, fraszek i parodii literackich Mariana Piechala „Diabeł za skórą". Ostatnio czytelnicy tego poety otrzymali nowy tom satyryczny, złożony z wierszy, felietonów i migawek polemicznych. (Marian Piechal: „Małpy w kąpieli", Wyd. Łódzkie, układ, obwoluta i oprac. graficzne Stefana Wegnera...)

Piechalowi służy pasja satyryczna, czytając te dwie książki obcujemy z żywym temperamentem autora. Poeta z zawziętością kąpie w ostrych słowach, w dosadnych powiedzeniach, dowcipnych zdaniach i kalambu-

M. Piechal w karykaturze Ibisa-Gratkowskiego

rach rozmaite „małpy": czasem są to pewne typy ludzkie, kiedy indziej zjawiska społeczne i obyczajowe, polityczne i literackie.

Oczytanie, umiejętność nawiązania do tradycji literackiej, doświadczenie i erudycja pozwalają mu na swobodę w rozglądaniu się po świecie. Ale bruździ nieraz... właśnie owa pasja satyryczna i temperament. Bruździ w osiąganiu trafnego efektu artystycznego. Ponieważ ma to być główny zarzut w stosunku do tej książki, poczuwam się do obowiązku bardziej szczegółowego wyjaśnienia, o co mi chodzi. A w tym celu muszę posłużyć się, chociaż tego nie lubię, aż dwoma definicjami, wybierając je spośród wielu istniejących na temat humoru i satyry.

Pierwsza z nich wyszła spod pióra niemieckiego dramaturga i filozofa, F. Chr. Hebbla: „Humor jest poznaniem anomaliów". Owszem, także i dzięki Piechalowi poznajemy rozmaite anomalia. W jednych wypadkach przypomina je nam, w innych — ciekawszych — odkrywa je przed nami czyli odbiega od tych „bolączek", które dawno już zostały uwierzytelnione przez licznych satyryków.

Druga definicja, próbująca uchwycić granicę — dodajmy od razu: zawsze płynną — dzieląc humor od satyry, należy do renomowanego praktyka, Artura M. Swinarskiego. Brzmi ona: „Satyra demaskuje i kerci. Humor demaskuje i rozgrzesza". Ze względu na inne środki wyrazu, inny zamiar i inne natężenie pasji „Zemsta" Fredry jest komedią humorystyczną, „Rewizor" Gogola jest komedią satyryka.

Temat i zawierająca się w nim treść — a więc wada ludzka czy zjawisko społeczne lub obyczajowe — żąda dla siebie rozmaitych rozwiązań artystycznych, rozmaitych środków, rozmaitego dystansu. Nie można z jednakową niemal pasją i zaciekłością, posługując się przytem prawie identycznym zespołem środków, pisać o odwetowcach i o wazeliniarzach. Tak jednak czasem dzieje się u Piechala, chociaż stać go i na filuterne przymrużenie oka, na żart, dowodem czego mogą być niektóre limeryki i fraszki albo takie wierszyki, jak „Mógłbym zostać ministrem" czy „Rymy rypińskie"...

Jednak w ich bliższym lub dalszym sąsiedztwie znajdują się takie humoreski jak „Rozwód dyrektora Knurka" i takie wiersze, jak „Problem wody", „Moje podarunki" lub „Taki". Nie kompromituje tych rzeczy temat, ale jego literackie potraktowanie. Ci recenzenci (a takich jest wielu), którzy zarzucają satyrykom ogromną tematykę nie mają racji. „Ograne rozwiązanie literackie" — oto w razie czego racja. „Jednakowy stosunek do każdego tematu" — oto w razie czego druga racja. Trudno np. nie pisać o złej jakości takich czy innych usług, skoro ona ludzi trapi. Należy jednak pisać o tym za każdym razem inaczej, celniej zabawniej. I na to stać Piechala! Dysponuje przecież w zasadzie różnorodnym uzbrojeniem. Chyba jednak owa właśnie pasja zaślepia go albo zacietrzewia i w tym widzę przyczynę, iż niejeden temat został ujawniony przez niemal mechaniczny zabieg autorski.

Częstym, obsesyjnym niejako tematem Piechala w omawianej książce są porachunki z pseudonowoczesnością w poezji, z bluffem, który na pewien czas daje rozgłos — oczywiście, rozgłos o bardzo swoistym zasięgu — niektórym autorom. W tym wypadku także mamy do czynienia z nadmiarem pasji. Traktowanie pewnych zjawisk z przymrużeniem oka może być skuteczniejsze, niż wytaczanie przeciwko nim działo o dużym kalibrze. Odnosi się wrażenie, że Piechal chciałby niszczyć (co w praktyce życia literackiego nie uda się), nie zaś ośmieszać, co z kolei dowodzi braku zaufania do swoich czytelników.

Są jednak w książce i utwory, z powodu których nie powinno się gromić autora „Małp w kąpieli" za obecność zaślepiającej pasji, ale raczej szukać w nich aluzji do czego innego. W „Przekleństwie dosłowności" ostrzega bowiem Piechal właśnie przed „infantylną dosłownością naszego myślenia". Pisze: „Małpa w kąpieli myślała dosłownie i dlatego wsadziła palec tam, gdzie ukrop cieczy, zamiast tę czynność zrozumieć przenośnie i zakręcić kurek"...

Nie sądzę, aby należało na przykład rozumieć dosłownie jego wypowiedź, zawartą w felietonie „Księżyc ucywilizowany". Chodziło w nim po prostu o satyryczne wyjaskrawienie antynomii, cechującej nasz dzień powszedni i możliwości naszej cywilizacji technicznej. Jeśli próbować ten felieton rozumieć tylko dosłownie, to można zostać... małpą!

Nie chciałbym — przynajmniej na razie — zostać „małpą" i dlatego dłużej z Marianem Piechalem nie będę się spierał o różne rzeczy, budzące takie czy inne sprzeciwy podczas lektury książki. Jest przecież o czym pomyśleć, jest nad czym zastanowić się, jest czym przejmować się i jest z czego śmiać się — gdy się czyta nowy zbiór satyr Mariana Piechala, znacznie i korzystnie odbiegający — pod względem intelektualnym i literackim — od schematu licznych książek z utworami humorystyczno-satyrycznymi.

Opracowanie graficzne St. Wegnera b. rzetelne, ale — jeśli można tak się wyrazić — nieadekwatne w stosunku do zawartości książki, obce jej tonowi. Stwierdzenie to wcale przy tym nie oznacza, iż jestem za dosłownie pojmowaną ilustracyjnością.

PIOTR COSZCZYŃSKI

Pamiętamy HISTORIE

Graben to serce Wiednia, takie wiedeńskie City. Od Graben biegną wąskie uliczki. Jedna z nich to Habsburger. Nad drzwiami małej winiarni wisi złota kiść winogron. W środku poumieszczane nad stolikami kinkiety także w kształcie winogronowych kiści. W kącie, tuż przy staroświeckim barze, ustawiono stolik, a na nim wielkie, piękne radio. Jest godz. 15. O tej porze szanujący się wiedeńczyk nie siedzi w winiarni. Co innego cudzoziemiec, który tu z kimś spotkanie umówił. Jest nas więc w winiarni, nie licząc starego barmana, dwóch — chłopak w wieku lat 22—24 i ja. Ja skracam czas oczekiwania przeglądaniem popołudniowej gazety w której trzy czwarte miejsca poświęcono sprawom Berlina. To zupełne nowum dla wiedeńskiej popołudniówki i chyba najlepszy probierz zaniepokojenia Austriaków sytuacją międzynarodową. Opinie zagranicznych korespondentów roztrząsających sprawę exstolicy III Rzeszy wyparły sensacje i sensacyjki na które tak łasy jest wiedeński czytelnik.

Spiker radia wiedeńskiego czyta właśnie dziennik popołudniowy. Przytacza zdanie po zdaniu wypowiedź prezydenta de Gaulle'a. Stary barman więcej chyba z przyzwyczajenia niż z konieczności przeciera białą ścierką szklanki i kieliszki. Wygląda tak jak by nic więcej na świecie go nie interesowało. Podnosi każdą szklankę do góry, przygląda jej się pod światło, przeciera ściereczką, jeszcze raz podnosi ku oczom — sprawdza, kontroluje, ustawia w równym szeregu na półce starego baru i sięga po następną. Młody chłopak odwrócił głowę ku stolikowi na którym ustawiono aparat radiowy. Uważnie słucha słów dziennika. Drzwi otworzyły się. Dwie głowy, dwa spojrzenia skierowały się ku drzwiom, a w nich zarysowała się sylwetka dziewczyny w obcisłej spódnicy podkreślającej figurę. Spódnica nie zakrywa kolan. Lubię obserwować wiedeńskie dziewczęta — są jakieś inne, wyglądają młodo, ale jakoś dorośle — każda czyni wrażenie modelki, która prezentuje nie tylko dobrze i elegancko skrojoną spódniczkę, bluzkę czy ładny sweter ale może nawet rozmyślnie osobiste walory w jakie wyposażyła ją hojnie natura zrodzona z wielorakiego mariażu krwi słowiańskiej, węgierskiej czy niemieckiej. Są ładne i powabne i zdają sobie świetnie z tego sprawę.

A ta, niestety, ominęła mnie. Szła w stronę chłopca. Usiadła przy stoliku, otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale chłopiec ruchem głowy wskazał na aparat radiowy. Ruchem, który mówił więcej od słów, który zdawał się rozkazywać: poczekaj, nie teraz, bądź cicho i słuchaj, bo to ważne...

Barman z jednakowym brakiem zainteresowania na rzeczy dziejące się wokół niego przecierał ścierką szklanki. Chłopak i dziewczyna w skupieniu słuchali słów dziennika, a ja obserwując baczniej trójkę łowiłem uchem każde słowo płynące z głośnika. Spiker właśnie skończył komentować wystąpienie prezydenta Francji. Mówił teraz o Algierii i Bizercie i wtedy od stolika gdzie siedzieli młodzi padło jedno dobitne słowo: Granda! to słowo wyrzekł młody chłopak.

Barman nie przerywając swego zajęcia, kontrolując ku oczom podniesioną szklankę zapytał:

— Co?

— Ta jego mowa — odrzucił mu niby piłką chłopak — czwarte mocarstwo, a w 1940 roku szli do niewoli jak bara ny. Wolność dostali w prezencie od Trumana, Stalina i Churchilla, tak jak i w prezencie dostali skrawek Berlina co zupełnie we łbie im przewróciło.

Spiker mówił teraz o liście premiera Chruszczowa do premiera Fanfaniego. Chłopak znów chwilę słuchał, a później zasłyszaną wiadomość skomentował:

— No, chociaż jeden naród, który się czegoś nauczył. Włosi już bić się nie będą. Mądry naród — wiedzą, że urodzili się do śpiewu nie do wojaczki.

Chłopak zaczynał mi się podobać. Mówił zupełnie do rzeczy.

— No, a pan, jakie jest pańskie zdanie? — zwrócił się chłopak do barmana.

Barman wycierając ścierką chyba setną z kolei szklankę, nie odrywając od niej wzroku wolno wycedził:

— Kto za dużo mówi trafia zawsze do obozu koncentracyjnego. Ja już swoje w życiu powiedziałem i... — zrobił długą pauzę, a potem dodał — i... odsiedziałem.

— A pan? — zwrócił się do mnie przechylając się przez dziewczynę bym go lepiej słyszał.

— Ja jestem gościem, jestem Polakiem, moje zdanie nie jest więc tu ważne.

Po raz pierwszy na ustach barmana pojawił się uśmiech:

— Brakuje jeszcze jednego kapitalisty, a moglibyśmy zaimprowizować przy winie spotkanie międzynarodowe — komunista, przedstawiciele państwa neutralnego i powiedzmy Amerykanin lub Anglik.

— Obejdzie się bez nich, a wino niech pan poda — oznajmił chłopak.

I tak oto po chwili siedziałem już w ich towarzystwie. Dziewczyna była naprawdę śliczna. Tyle, że uporczywie milczała. Od czasu, do czasu gdy jej chłopak zaczynał zbyt głośno wykrzykiwać słowa uznane za brzydkie pod adresem Adenauera czy prezydenta Kennedy'ego kładła mu rękę na dłoń, a wtedy w jej brązowych oczach zapalały się jakby dwie iskierki. Uśmiechała się niczym kobieta dojrzała, niczym matka, która znając wybuchowy charakter swego dziecka, usprawiedliwia je. Uśmiechała się do mnie dyskretnie kącikami ust jak by chciała rzec — proszę mu darować, ponosi go — młody jest jeszcze.

On zaś uporczywie powtarzał:

— Mam ich w d..., za ich brudne sprawy ja swego tylka nadstawiać nie będę.

Naraz zwrócił się do mnie:

— Chcesz wojny, powiedz, chcesz wojny?

— Nie śpieszy mi się, mam jeszcze poprzednią w kościach...

Przerwał mi.

— Widzisz stary — chłopak zwrócił się do barmana — on jest z tamtej strony i też wojny nie chce. Kto z nas chce?

A potem chłopak zwrócił się do dziewczyny o brązowych oczach.

— Zaprosimy go do mnie. Chcę mu coś pokazać.

Mieszkał daleko. W dzielnicy zwanej Gersthof lub jak mówią wiedeńczycy w XVIII „Bezirku"; w małej uliczce Hockegasse. Dwa schludne pokoiki — regały na książki wykonane z żelaznych prętów, stolik z żelaznych prętów zrobiony, takież foteliki wyplatane plastikiem, radio, tapczan. Drugi pokój był prawie pusty.

— Jeszcze go nie urządziłem — usprawiedliwiał się — tamte nieble sam zrobiłem, tymi dziesięcioma palcami. Sam je spawałem, sam malowałem, sam wyplatałem. Z zawodu jestem technikiem-chemikiem, ale znam każdą robotę.

Podszedł do małej szafeczki. Chwilę w niej czegoś szukał. Wyjął czarny, zniszczony portfel, z niego zdjęcie mężczyzny w mundurze lotnika niemieckiej Luftwaffe.

— To wszystko co mi zostało po ojcu. Miałem 6 lat gdy zginął w 1944 orku. Nawet nie wiem, gdzie został pochowany. Był Austriakiem, a musiał walczyć za bydlaka urodzonego w Braunau. To największy wstyd tej ziemi austriackiej, że na niej właśnie urodził się ten świntuch Hitler, ale teraz już nie te czasy. Na te dwa pokoje i na to co w nich jest, pracowałem tak ciężko jak tylko można ciężko pracować — po 12, po 14 godzin na dobę — u nas się lekko nie żyje. Chcę to zachować dla niej i dla siebie. Za dwa tygodnie mamy się pobrać. Chcę mieć dom, chcę żyć jak człowiek. Dlatego nie dam się wciągnąć w żadną śmierdzącą awanturę, ani o Berlin, ani o żadne inne miasto. Nazywają mnie czasem komunistą — nie jestem ani komunistą, ani kapitalistą — jestem człowiekiem jakich miliony w Austrii, człowiekiem, który chce żyć, mieć dom i spokój. A polityka wisi mi tylko.

Gdy opuszczałem dom przy Hockegasse chłopak w drzwiach powiedział:

Niech pan napisze, że my Austriacy na żadne kawały wziąć się nie damy. Pamiętamy historię.

Gdy skręcałem w Gerstoferstrasse odwróciłem się. Stali ramię przy ramieniu na schodkach przed małym domkiem oświetlonym żarówką palącą się nad drzwiami. I wtedy postanowiłem, że opiszę to spotkanie.

Dalszy ciąg ze str. 2

dziennikarskie w Łodzi. Trzeba stwierdzić, że udział dziennikarzy w konkursie był znikomy. Wpłynęły natomiast nieliczne, ale interesujące prace, z których zrodził się pomysł magazynu „Spojrzenia i opinie". Zaraz po pierwszym magazynie nadanym w nowej formie ukazały się w dwóch łódzkich organach prasowych bardzo nieżyczliwe oceny, stwierdzające, że dawne formy magazynowe były lepsze. Pomijam już nielojalność tak arbitralnych sądów wypowiadanych natychmiast po pierwszej próbie. Ważne jest, że niektórzy nasi oponenci chcieli odmówić nam prawa do poszukiwania nowych form, do dopracowania się lepszych wyników.

Spieszę poinformować „iksa", że wbrew jego opinii wokół nowej formy magazynu skupiła się grupa dziennikarzy, mających ambicje uprawiania publicystyki w całym tego słowa znaczeniu, telewizyjnej. Nie jest to grupa zamknięta, każdy dziennikarz czujący „język telewizyjny" może do niej dołączyć. W ciągu kilku tygodni „Spojrzenia i opinie" nabrały już pewnych cech rodzaju dziennikarskiej, typowej tylko dla telewizji. Mniej w nich elementów statycznych, więcej filmu, zdjęć, rysunków i pomysłów plastycznych. Nie ustajemy w poszukiwaniach typu formalnego, nie zaniedbując oczywiście odpowiedniego doboru treści. Ostatnio — na razie tytułem eksperymentu — wprowadziliśmy nowe urządzenia techniczne, a więc rzutnik, urządzenie do tylnej projekcji itp. Plany nasze dotyczą również wyprodukowania własnymi siłami, to jest przez inżynierów i techników LOT tzw. miksera trickowego, który umożliwiłby wprowadzenie różnych urozmaiceń (np. dzielenie ekranu telewizyjnego na płaszczyzny, na których równocześnie ukazywałyby się różne współpracujące ze sobą obrazy). Te i inne środki pozwolą nam walczyć ze sztampą i nudnymi formami publicystyki telewizyjnej.

X - liczba niewiadoma

W artykule swym „iks" wyraża ciekawość, czy koledzy z TV zastanowią się nad sprawami przez niego poruszonymi. Przeczytałem rzecz dwa razy uważnie. Łącznie z zakończeniem reprezentującym swoisty poziom dowcipu. Zastanowiłem się. I proszę mi wierzyć: oprócz refleksji na temat właśnie dobrych obyczajów „iksa" artykuł nie dał mi materiału do myślenia. To wszystko.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

Marzenia a rzeczywistość albo o czym marzyła(e)m i co z tego wynikło...

Pani Emilia Schumann — pracownik umysłowy, lat 58.

Kiedy byłam dzieckiem bardzo chciałam zostać praczką. Strasznie lubiłam tę ruchliwą pracę. Teraz jestem urzędniczką i tkwię martwo przy biurku. Później chciałam się uczyć grać na pianinie. Dzisiaj wprawdzie mam pianino, ale grać umiem tylko jednego walczyka, w dodatku nie z pamięci lecz z nut. W czasach kiedy uganiałyśmy się za chłopcami przysięgałam sobie, że nigdy w życiu nie wyjdę za mąż za blondyna o niebieskich oczach a zwłaszcza noszącego imię Stanisław lub Franciszek, choćby był cały ze złota czy srebra. Mój mąż, którego bardzo kocham, jest właśnie blondynem o niebieskich oczach. Pierwsze jego imie brzmi Stanisław a drugie Franciszek. W życiu nigdy nic nie wiadomo.

Pan Andrzej Łukasz, chemik, lat 27. Miałem chyba z osiem lat kiedy próby ze skonstruowaną przeze mnie petarda dały pomyślny wynik. Chociaż przez moment wahałem się wtedy pomiędzy zawodem strażnika a chemika, to mimo przykrości na jakie ten zawód mnie narażał (ojciec miał zwyczaj bicia paskiem na goła pupę) wybrałem zawód chemika. Nie od razu jednak. Los był dosyć złośliwy. Niespodziewanie posłano mnie do technikum elektrotechnicznego. Kiedy je ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym, znów stanąłem na rozdrożu — chemik czy elektryk?! Fakt, że przez ten czas zapomniałem chemii, zupełnie zdecydował, iż składałem papiery na wydział elektrotechniczny wyższej uczelni. Tu los okazał sie łaskawszy. Dziwnym trafem moje papiery znalazły sie wśród zgłoszeń na wydział chemiczny. Fatum — pomyślałem i zostałem chemikiem. Dziś, kiedy przy reperacji żyrandola „kopnie" mnie czasem prąd, stwierdzam, że nie żałuję.

Pani Bolesława Modzelewska — pracownik umysłowy, lat 52.

My żyliśmy w zupełnie innych warunkach niż dzisiejsze pokolenie. Dzisiaj można wybrać sobie kierunek nauki czy pracy według własnych upodobiań, podczas gdy przed wojną dostosowywało się marzenia do stanu kieszeni. Szkoła była droga. Ja musiałam wcześnie zrezygnować z moich marzeń. Miałam dwanaście lat kiedy umarli mi rodzice. Musiałam kończyć szkołę i iść do pracy. Od tego czasu zmieniałam wiele zawodów. Teraz pracuję w gastronomii. Jestem zadowolona, ale wiem, że stało się zupełnie inaczej niż kiedykolwiek myślałam. Życie wszystko pomieszało. Gdybym mogła zacząć jeszcze raz skończyłabym jakieś technikum zawodowe, żeby mieć jakiś konkretny zawód, a nie tułać się od przypadku do przypadku.

Rozmawiał

ŁUW

Misterium liryczne

w czterech aktach

z pieśniami chóralnymi i milicjantem

BA gatelki

Scena przedstawia „zebrę" na ulicy Piotrkowskiej. Pojedyńczy przechodnie przemykają sie nią z popłochem w oczach. Na środku zebry dziewczyna. Na skuterze nadjeżdża młody człowiek wyglądający na studenta. Tu:

AKT I

(Młody człowiek zatrzymuje się przed „zebrą". Uśmiech.)

Młody człowiek — Proszę bardzo!

(daje Dziewczynie pierwszeństwo przejścia).

Dziewczyna — Dziękuję (Przechodzi).

Akt II

(Przechodnie spontanicznie tworzą grupę artystyczną)

czyli

Chór Zmieszanych pod nazwą „Ewentualnie Cześć Pieśni".

Następują inwokacje chóralne

Chór Zmieszanych:

Bawole wspaniałomyślności!

Arko pojednania!

Uprzejmości tytanie!

(Dalej wielogłosowo)

Sława! Sława! Sława!

AKT III

(Wszyscy kierowcy na Piotrkowskiej wychylają się przez okienka swoich wozów, zatrzymują się przed „zebrami" uprzejmymi gestami zachęcają przechodniów do przejścia. Atmosfera powszechnej szczęśliwości.)

AKT IV

(Rozlega się gwizd milicjanta)

Milicjant: Obywatele, proszę się nie wygłupiać. Wracamy do normalnego życia.

MAW

Portret młodzieńca

Rys. Marek Mann.

FRASZKA TYGODNIA

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

Do Karola

(w związku z premierą sztuki K. Obidniaka „Dark Glory")

Inny nie śpi po nocach i tematów szuka,
A ty trząchniesz rękawem, od razu jest sztuka;
I tytuł jest i problem i nowa fabuła...
Tyś chyba nie O-bidniak, lecz raczej o-kułak.

absurdziki

Od pewnego czasu w Łódzkim Koncercie Życzeń nie słyszy się już popularnego „wszystkiego co się szczęściem zwie". Zastępczo stosowane jest „wszystkiego czego sobie życzy". Niezmiennym natomiast powodzeniem cieszy się życzenie „wygranej w toto-lotka".

* * *

W teatrach w tym tygodniu:

Chcesz się wzruszyć? — Zobacz „Trzy siostry".

Chcesz się pośmiać? — Obejrzyj „Grzegorza Dyndałę".

Chesz drżeć ze strachu? — Zobacz „Dark Glory".

Chcesz poznać geniusza? — Idź do Teatru Dejmka.

Chcesz spędzić wieczór pożytecznie? — Czytaj „Odgłosy" w domu.

* * *

W 9 odcinku rysunkowej powieści „Expressu" „Najdziksze serca" młoda kobieta w sercu śnieżnej pustyni zdjela z głowy kaptur ukazując Czytelnikom nienaganny makijaż oraz trwałą ondulację prosto od mistrza Kabata.

* * *

Nic dobrego nie słychać w okolicach Zielonego Rynku. I straganiarze i kupujący klną w żywy kamień zarządzenie zabraniające sprzedaży po godzinie siedemnastej (wyraźnie ułatwie nie życia dla pracujących do tej godziny w biurach).

De Jot

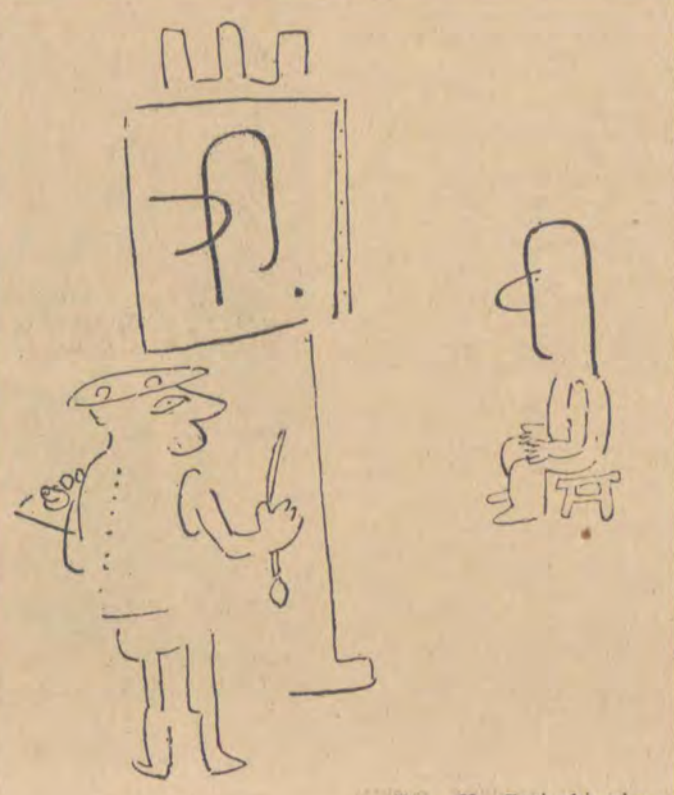

Rys. H. Gąsiorkiewicz

MONUMENTALNY KONKURS „ODGŁOSÓW"

na fraszki tygodnia i miesiąca TRWA!

Pamiętajcie o konkursie

Dziś zagadka historyczna. Nasi Czytelnicy odpowiedzą na pytania czym wsławiły się w historii Polski podane poniże, miejscowości:

1) Raków: a) słynną bitwą, b) zgrupowaniem Arian, c) znanym buntem chłopskim.

2) Nieszawa: a) znanym rodem magnackim, b) słynnym oblężeniem, c) uchwaleniem przywilejów szlacheckich.

3) Połaniec: a) kościuszkowskim uniwersałem, b) potyczką ze Szwedami, c) znaną uczelnią.

4) Września: a) wybuchem powstania w 1846 r., b) znanym więzieniem, c) buntem szkolnym.

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać na adres: Łódź, Piotrkowska 96, Odglosy".

ZAGADKA TYGODNIA

Rozwiązania z nru 40

„Moje uniwersytety" — A. Pieszkow (M. Gorkij); „Faraon" — A. Głowacki (B. Prus); „Skąpiec" — J. B. Poquelin (Molier); „Pustelnia Parmeńska" — H. Beyle (Stendhal); „Komornicy" — F. Smreczyński (W. Orkan).

Nagrodę otrzymuje pan Stanisław Żmurko, Koluszki, ul. Brzezińska 51.

Nasza krzyżówka

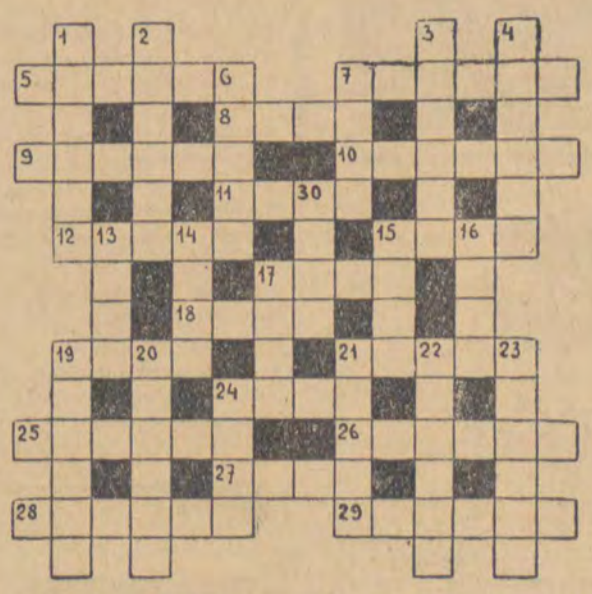

Poziomo — 5) Stolica Kolumbii, 7) Nizina w delcie Wisły, 8) Rodzaj lekkiej, przejrzystej tkaniny, 9) Jedzenie, 10) Imię żeńskie, 11) Metal, 12) Ton podniosły, 15) Wykwintna gruszka, 17) Forma utworu wokalnego na głos solowy, 18) Miara papieru, 19) Naturalny napój, 21) Wada, rysa, pęknięcie, 24) Pora roku, 25) Melodia wyrażona w taktach, 26) Fruwa w powietrzu, 27) Stolica państwa europejskiego, 28) Tkanina, 29) Nowość, nowa wiadomość.

Pionowo — 1) Progresja, 2) Powozik lub piłka z piórkami do zabawy, 3) Wieś w powiecie radziejowskim, której nazwa weszła do historii po zwycięstwie Władysława Łokietka nad Krzyżakami, 4) 0,25 garnca, 6) Przeszeregowanie pracownika do wyższej kategorii wynagrodzenia, 7) Szpara w zboczu górskim, wyżłobiona osuwającymi się okruchami granitów, 13) Samochód, 14) Dopływ Warty, 15) Instytucja finansowa, 16) Grzyb, 17) Cześć świata, 19) Wilczyca, 20) Imie żeńskie, 21) Ustawodawca ateński zaliczony do 7 mędrców greckich, 22) Stan czynny środków własnych przedsiębiorstwa lub osoby prawnej, 23) Miasto w Pikardii (w północno-wschodniej Francji), 24) Imię męskie, 30) Rzeka w Polsce.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z n-ru 35.

Poziomo — Staff, obłok, drops, anion, zegar, lewar, grosz, sport, wigor, gwara, Dania, rezon.

Pionowo — stora, afisz, homar, honor, ring, europ, augur, lek, osm, regał, sagan, osad, twarz, potok.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. M. Świecchowski, Solec n/Wisłą, powiat Lipsko, Przedmieście Bliższe.

2. Walenty Jędrzejewski, Łódź, ul. Biegańskiego 21.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-19 * Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odglosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 2977 X. L-4

Będą tańczyć na małym ekranie

Życie skorygowało nasze plany. Rzecz w tym, iż układy taneczne Walca z „Coppelii" Delibes'a, oraz etiudy h-moll Szymanowskiego i etiudy es-moll Skriabina rodzą się — jak dotychczas — na sali baletowej. Nie jest to może najlepiej, pamiętamy bowiem iż z góry przeznaczone zostały na mały ekran, z drugiej jednak strony trzeba zrozumieć, iż niestety nie zawsze i nie w każdym czasie można korzystać bez ograniczeń z telewizyjnego studia. Stąd ograniczyliśmy się na razie do zwięzłego omówienia tej fazy prób — jesteśmy wszelako zupełnie zdecydowani zaprosić się na jedną z prób kamerowych i tam dopiero skonfrontować, w jakim stopniu wizja choreografa będzie „przystawała" do wymogów małego ekranu, co i na ile ulegnie przeróbce.

Materiał ten znajdą czytelnicy za tydzień.

Będą tańczyć na małym ekranie JANINA NIESOBSKA i EUGENIUSZ KOWALCZYK — soliści baletu Opery Łódzkiej wystąpią w Telewizji Łódzkiej we wtorek 24 bm., biorąc udział w koncercie solistów. Zobaczymy dwa układy indywidualne, tańczyć je będzie Janina Niesobska, a mianowicie etiudę b-moll Szymanowskiego i etiudę es-moll Skriabina, oraz duet — walc z „Coppelii" Delibes'a.

Teraz próbują, szukają dla płynącej z magnetofonu muzyki ruchowych środków wyrazu. Wszystko rozwiążą w technice tańca klasycznego, chyba najbogatszej i dającej największe możliwości, choć zdradzić możemy, iż w przypadku etiudy Skriabina były wątpliwości: czy taniec klasyczny, czy też może układ charakterystyczny, tańczony na półpalcach, oparty o jakiś pomysł fabularny, o jakąś treść. Przyjęto rozwiązanie pierwsze, na pewno dyskusyjne, ale z tego co widzieliśmy na próbie, ciekawe.

Jeszcze ten dodatkowy problem: układy robione są dla małego ekranu, różnić się tedy muszą czymś od układów, pomyślanych na scenę. Czymś, ale czym? Dyskutowaliśmy sobie o tym trochę i zdało się nam, że o ile w teatrze widz patrzy po pierwsze z pewnej odległości, a zarazem stale z jednego i tego samego kierunku, to w telewizji patrzy bardziej z bliska, a przenoszony kamerą obraz, może być ujmowany z różnych stron. Stąd, wydaje się, najczęściej stosowany w teatrze ruch w poprzek sceny, przed oczyma widza, ciekawie będzie zastąpić niekiedy ruchem ku widzowi, ku kamerze.

Weźmy skok. Tancerka jak ptak leci w powietrzu niemal w nim zawisa, w pięknym harmonijnym ułożeniu całego ciała. Na scenie niemal zawsze ułożymy go tak, aby widz mógł napatrzeć się nań jak najdłużej, a więc w poprzek sceny, poziomo.

W telewizji — podobnie w filmie — można chyba pozwolić sobie na efekt odmienny, na efekt „wpadania" w kamerę, gwałtownego ruchu w przód.

Tancerka też leci w powietrzu, ale leci ku tobie ogromniejąc, tak jak ogromniać będzie ujęty z przodu, pędzący pociąg, który jak gdyby wjeżdżał na widza.

Co zaś wydaje się nudne, to ruch kamery za tancerzem, jak przy przeniesieniach ze sceny, bo to tylko rejestracja, tylko zapis układu bez wzbogacenia go nowymi efektami, wynikającymi z zastosowania telewizyjnej techniki.

Czy mieliśmy rację dyskutując tak w pięknej, lustrzanej sali baletowej Opery Łódzkiej? Czy próby, na które się zapraszamy i rozmowa z reżyserem — KAZIMIERZEM ORACZEM — na którą jesteśmy umówieni, skorygują te opinię? Czy wreszcie sam koncert uda się tak, jak to sobie realizatorzy wymarzyli?

JERZY PANASEWICZ
Zdjęcia: WIESŁAW MACHEJKO

Mówi EUGENIUSZ KOWALCZYK

Układy, które w zasadniczym zarysie obejrzeliście państwo na próbie, są zupełnie nowe, oryginalne. Żadnej z etiud nie widziałem co prawda na scenie, natomiast „Coppelię" oglądałem — rzecz jasna — wiele razy i zupełnie świadomie nie chciałem powtórzyć tego, co już było robione.

Szukać, to zawsze ambitniej niż kopiować — dlatego szukałem, choć wiem przecież, że konfrontacja może wypaść dla mnie niekorzystnie.

Jak rodzi się układ taneczny? Cóż, punktem wyjścia może być albo muzyka, albo określony pomysł fabularny. W tym drugim wypadku wiem, że chciałbym wytańczyć pewną treść, opowiedzieć językiem tańca jakąś historię, powiedzmy historię dziewczyny daremnie czekającej na przystanku na najdroższego — wówczas albo sam, albo z pomocą muzyka dobieram odpowiedni podkład, dobieram taki czy inny utwór muzyczny, który zgadzałby się w nastroju z moim pomysłem.

Tu punktem wyjścia była muzyka. Najprościej mówiąc słuchałem jej wielokrotnie, szukałem jakiejś wizji, jakiegoś obrazu. Żadna określona treść nie kojarzyła mi się z tą muzyką, po myślałem wtedy, że — stosując we wszystkich wypadkach technikę tańca klasycznego, tańca na całych palcach, a nie pół-palcach, żeby to jakoś najprościej rozróżnić — poszukam ruchu, któryby z tą muzyką był zgodny. Ani przy Szymanowskim, ani przy Skriabinie, ani nawet przy muzyce Delibesa nie chcemy opowiedzieć żadnej historii, ten taniec niczego nie będzie oznaczał, będzie ruchem, samym ruchem.

Pyta Pan, dlaczego w pewnym fragmencie etiudy Skriabina kładę tancerkę na ziemi? Cóż, wydaje mi się, że muzyka w tym właśnie miejscu jak by ciążyła ku dołowi i myślę, że każdy scenograf zastosowałby tu zwolnienie, choć oczywiście nie każdy podkreśliłby je w ten akurat sposób.

Miałem oczywiście sporo dodatkowych trudności z wyobrażeniem sobie, jak rzecz ma wyglądać na małym ekranie. Rozwiązałem to tak, że możliwie zawęziłem przestrzeń, na jakiej się tańczy, że prowadziłem ruch raczej ku przodowi i po przekątnej, a nie wszerz, jak to się zazwyczaj robi w teatrze. Założyłem sobie również, że tu gdzie stoję, będzie stała również ta podstawowa, prowadząca kamera — zdaję jednak sobie sprawę, iż to i owo trzeba będzie zapewne jeszcze przepracować.

Kwitujemy ODBIÓR

„Zegarek"

Na kolejną premierę Teatr Telewizji wybrał pozycję raczej z marginesu dramaturgicznej twórczości **Jerzego Szaniawskiego**: w niewątpliwie pełnieiszym kształcie artystycznym podnosi przecież pisarz podobny problem moralny (i to w oparciu o zupełnie zbieżny motyw „niepopełnionej kradzieży") chociażby w „Kowalu, pieniądzach i gwiazdach". Swoistym „wabikiem" dla realizatorów mogła być chyba tylko miniaturowa obsada możliwość rozegrania spektaklu zupełnie kameralnie, intymnie. Tak też został poprowadzony: kameralnie, intymnie, czysto, ale i w rezultacie tylko poprawnie.

Pierwsza, wymagająca pełniejszych planów scena nie wyszła ani **Tadeuszowi Łomnickiemu**, ani tym bardziej **Kazimierzowi Opalińskiemu**, który „sypał się" niemiłosiernie raz za razem. W scenach następnych, o kilkanaście lat późniejszych w czasie, obaj byli już jednak bardzo dobrzy. Podobnie **Antonina Gordon-Górecka** i **Konstanty Pągowski** — bez większych zarzutów.

Mimo wszystko, z lokalnego patrząc podwórka, rzecz godna jest odnotowania: nadany przez Telewizję Warszawską spektakl przygotował główny reżyser ŁOT — **Jerzy Antczak**.

CZ.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 19. X. 61.

11.00 Program dla szkół: Historia: „Jeden dzień w Biskupinie" z cyklu: „Grodzisko" (dla kl. V), 11.30—16.45 — Przerwa, 16.45 Program dnia (Ł. lok.), 16.50 „Woda wyżej" (Ł. lok.), 17.05 Program dla dzieci: 1) „Miś z okienka", 2) Młodzież, Kronika Filmowa 3) „Wywiad z ciekawym człowiekiem" (W), 17.50 „Ludzie i dyplomy" z cyklu „O wsi dla wszystkich" (W), 18.20 PKF (W), 18.30 „Klaps" — magazyn nowości filmowych z Łodzi (Łódź ogólnop.), 19.00 Koncert Orkiestry Tanecznej PR z udziałem Chóru Czejanda i solistów (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 „Płyń pieśni płyń" — film krótkom. prod. polskiej (W), 20.10 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W), 20.45 Teatr „Kobra": „Cma, trupia główka" — widowisko sens. Joe Alexa, 21.55 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 20. X. 61.

17.15 Program dnia (Ł. lok.), 17.20 „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.), 17.50 Film z serii „Mój koń" prod. ang. (W), 18.20 „Samotni zakochani" — młodzieżowy progr. publicystyczny" (W), 18.55 Wszechnica TV: III program z cyklu „Azja" (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 „To nas obchodzi" — program publicystyczny (W), 20.35 Teatr Telewizji Katowickiej: „Utalentowane natury" — insc. własna sztuki Michała Sołtykowa - Szczedrina, w tłumaczeniu Czesława Jastrzębiec - Kozłowskiego (Kat.), 21.40 Do rodziców i wychowawców (W), 22.10 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 21. X. 61.

10.00 Program dla szkół: Biologia — „Czy lubisz owoce" — z cyklu „Natura i człowiek" (dla klas V), 10.30—16.55 Przerwa, 16.55 Program dnia (Ł. lok.), 17.00 Program dla dzieci: „Do Re Mi" — Telekonkurs dla dzieci, Transmisja do NRD, Czechosłowacji i Węgier — Interwizja (W), 18.00 „Marysia i krasnoludki" — film fab. prod. polskiej (dla dzieci) (W), 19.15 Program tygodnia (Ł. lok.), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 „Od melodii do melodii" — program rozrywkowy z Berlina (Berlin przez Katowice), 21.05 „Pegaz" (W), 21.35 PKF (W), 21.50 Ostatnie wiadomości (W), 21.55 „Wakacje przed śmiercią" — film fab. prod. USA dozw. od lat 16 (W).

ZA TYDZIEŃ

znajdziecie na tej kolumnie:
Kontynuację materiału „Będą tańczyć na małym ekranie"
Wyjaśnienie LOT w sprawie artykułu „Za obrazę sądu"
Artykuł o telerecordingu
oraz bieżące sprawozdania

„RONDO"

Czy zgodzicie się Państwo — zwracam się tu do tych, którzy we wtorek 19 bm., oglądali z Warszawy reportaż pt. „Rondo" — że gdyby rzecz była filmem, człowiek po kilku minutach wyłączyłby telewizor, dziwiąc się, że coś takiego w ogóle mu pokazują? Ale rzecz szła „na żywo" i — była do oglądania.

Właściwie prawie nic ciekawego. Kamery ustawione przy sivnym już rondzie z widokiem na Centralny Dom Towarowy. Pare rozmówek z przechodniami na temat „dokąd państwo śpieszą", „gdzie państwo byli?", niezbyt interesujących, tyle że budzących wśród narodu szalona sensację. Natychmiast robiło się zbite kółeczko i było widać tyle, ile widać przy najbłahszym nawet wypadku: ludzie stoją i ludzie się gapią.

Nadto ujęcia frontonu CDT, perspektywy ulic, wnętrza kawiarni i tak w kółko. Pod to, z taśmy, fragmenty wspomnień z pierwszych dni wyzwolonej Warszawy i prawdopodobnie archiwalne (bo na upartego można by je równie dobrze sfingować) nagrania radiowe. A to rozmowa z tymi, którzy odgruzowywali, a to jakiś wywiadzik sprzed lat, to znów strzęp reportażu.

I to było wszystko, na pozór strasznie niewiele, strasznie ubogo a jednak poczucie pewnej przynajmniej AUTENTYCZNOŚCI audycji, świadomość, że ruch na warszawskiej ulicy jest jak najbardziej współczesny w czasie odbiorowi — do mnie przynajmniej apelowało. Zapewne tego typu „reportaże z rogu ulicy" przejadłyby się nader szybko, w tej chwili jednak rzecz uderzała świeżością i — myślę — musiała przemówić do odbiorcy.

PJ

TELEwizja

ZBIGNIEW NIENACKI

Worek JUDASZÓW

Wrócił na skrzynię. Uważnie przydusił knot pośliniony mi palcami. Wyobraźnia okazała się jałowa. Siedział otępiały i senny.

...A potem wszystko odbyło się bardzo prosto i naturalnie. Usłyszał szmer odsuwanej trumny, zawołała go konwerska:

— Oni już poszli. Może pan wyjść...

Wyszedł na światło dzienne. W krużganku zapytał o siostrę Anastazję.

— Modli się za pana — odpowiedziała.

Na obiad otrzymał nieokraszoną wodziankę z grubo pokrajanymi kawałkami czarnego chleba. Na drugie — trochę rozgotowanych jarzyn. Drewniana łyżka cuchnęła zjełczałym tłuszczem, jadł ze wstrętem. Paląc papierosa położył się na wyrku w celi. Było mu zimno, ale nie nakrywał się kocem. Oczekiwał, że lada chwila zjawi się u niego Anastazja. Przecież należało mu się jakieś wyjaśnienie!

Otaczała go cisza grubych murów. Niekiedy dochodził jego uszu szmer — to szurały sandały idącej krużgankiem mniszki. Lecz nikt nie pukał do celi. Czas mijał tu wolno, odmierzony rozkazującym głosem sygnaturki, żałobnym śpiewem modlitwy. Wydawało mu się, że jedyną żywą istotą w tych murach jest on sam i jego zegarek. Odwrócił się na bok, położył pod policzek lewą rękę; monotonne cykanie sekundnika wnosiło jakiś ruch w tę martwotę, słysząc go nie czuł się już tak bardzo osamotniony. Cisza klasztoru leżała u wezgłowia wyrka Alberta jak ciężki chropowaty kamień.

Anastazja nie przyszła. W celi było wciąż mroczno, zakurzone szyby nie przepuszczały wiele światła.

Wstał, przygładził włosy. Powlókł się do biblioteki i ułożył książki na półkach, zakrywając Ewę i Archanioła oraz Chrystusa na krzyżu. Z biblioteki powędrował na podwórze. Powitał go szary zmierzch, po dniu chyba bezsłonecznym, ale i bez deszczu.

Na zabrukowanym głazami podwórku żółtymi kępkami rósł suchy mech. Gdzieniegdzie rozlewały się małe kałuże wody deszczowej. W ogrodzie okolonym odrapanym murem rosły świeżo pobielone drzewa owocowe, tu i ówdzie zaznaczały się starannie skopane grządki, szare badyle krzewów. Na ścieżkach leżały grube warstwy gnijących liści. W kącie ogrodu kosmykiem dymu cmiło ognisko z liści doglądane przez mniszkę. Ciężki dym czepiał się krzaków, ziemi, snuł się po ogrodzie długimi pasmami. Wszystko było ciche, szare, smutne — habit, mury, ogród, niebo, dym, klasztor, dziobata twarz mniszki. Jej oczy wydawały się ślepe. Patrzyła na Alberta, a przecież chyba go nie dostrzegała. „Dlaczego takim smutkiem napełnia obcowanie z Bogiem?" — pomyślał Albert.

* * *

— Odjeżdżam. Wrócę za kilka dni, aby dokończyć swej pracy — oświadczył przeoryszy.

Znowu stali w refektarzu obok długiej, źle ostruganej ławy.

— Czy można się modlić za pana? — zapytała.

— Módlcie się za prałata...

Spuściła głowę na piersi.

— Modlimy się... On zrobił wiele dobrego dla naszego klasztoru. Większość zakonnic przybyła tu z Francji. Zaraz po wojnie. Dopomógł nam zadomowić się tutaj. O, jeszcze nie jest tu najlepiej. Cieszy nas nasz spokój.

— I smutek — wyrwało się Albertowi.

Pan się tu smucił?

— Tak, siostro przełożona.

— Pan nie rozumie, że

każdy dzień przynosi nam coraz nową radość. Tu nie ma smutku. Wszystko jest hymnem radości. Świat coraz mniej zaczyna pociągać, pozostaje coraz dalej i dalej, a właściwie wciąż niżej i niżej. Nikt tu nie rachuje dni. Tylko szczęśliwi nie znają czasu. Mamy i swoje smutki. Ot, którejś z sióstr brzydko wypadł haft na ornacie... Pan tego nie rozumie, prawda?

— Rozumiem, siostro. Rozumiem więcej. Wiem, co czynicie gdy przychodzą tu tacy jak ja.

Uśmiechnęła się.

— Siostry o panu nie wiedzą. To tylko moja sprawa i siostry Anastazji. Droga do zbawienia prowadzi przez kościół. A kościół to wielka organizacja. Pan chyba wie co znaczy pracować w organizacji? Jest się posłusznym rozkazom, których nikt nie wydał. Nie wolno myśleć tylko o dniu dzisiejszym. Jutro też jest ważne. My umrzemy, dok — sprawiły Albertowi zadowolenie. Brydżyści przywitali Alberta z roztargnieniem. Tylko geometra przyjął go hałaśliwie, jak starego znajomego. Chyba sporo wypił, nalał Albertowi kieliszek wina, dopełnił własny i swej partnerki. Mówił prawie bez przerwy, zdawało się, że wskoczy na kolana czarnowłosej damy. Zmusił Alberta do wypicia trzech kieliszków wina, raz za razem. Albert delektował się świadomością, że oto wystarczył mały hokus-pokus i z zimnej celi klasztornej, z kraju milczenia i ponurego śpiewu znalazł się nagle w tym pokoju pełnym zabawy, podniecającej muzyki.

Ramiona kobiety siedzącej z geometrą były ładne. Ładna była także twarz, prosty kształtny nos, pełne usta, obfite czarne włosy rozpuszczone na gołych plecach. Zaloty geometry przyjmowała jak coś oczywistego, należ żytego sobie. Dopiero gdy geometra zbyt natarczywie natarł na nią kolanami i butami przydeptał jej pantofelek, wrzasnęła na niego:

— Idź pan do cholery. Zwariował pan?

Geometra począł przepraszać, całował każdy palec swej damy. Zezował przy tym na łysego grubasa.

Błagam panią, niech pani nie poskarży się mężowi. On mnie każe aresztować. Pani jest bardzo nieszczęśliwą kobietą — teraz całował zgięcie jej ręki.

— Nieszczęśliwą? Cóż pan gada? — odsunęła się od niego. Wyrwała mu rękę.

— Pani uroda wymaga adoracji. A adoratorów pani nie ma. Wiem o tym. Wszyscy się boją pani męża.

— A on mnie się lęka — poklepała geometrę po policzku.

— Nie wierzę...

— Nie? Pan mnie nie zna. Jak będzie pan grzeczny to panu coś pokażę.

— Co?

Nie krępując się obecnością milczącego Alberta, schwyciła rabek sukienki i trochę ją uniosła. Albert napotkał jej oczy i zrozumiał, że jest pijana. Pocałowała geometrę w ucho.

— Ukarzę go za tę Ramuzównę. Gdy wyjdę stąd, niby do kuchni, niech pan idzie ze mną. Ale nie zaraz, nie zaraz... Muszę się namyśleć... — pogroziła geometrze palcem.

Albert podszedł do majorowej i zaprosił ją do tańca. Tańczyła lekko, choć nieuważnie. Albert przycisnął ją trochę mocniej, zdawało się, że nie spostrzega tego.

— Któż to jest? — zapytał.

— Kto? — ocknęła się z zamyślenia.

— Ten łysy, gruby. Na poręczy fotela.

— Zastępca Szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Mój stary znajomy. Krychniak. Zaprosiłam go tu ze względu na tę dziewczynę.

— Czyżby? — powątpiewał Albert.

Westchnęła:

— Jej narzeczony był adiutantem Rokity, czy coś w tym rodzaju. Powiedział jej ktoś, że jest aresztowany i siedzi w więzieniu w Warszawie. Spiknęłam ją więc z Krychniakiem. Dziewczyna jest ładna...

Krychniak pochylił się i ustami dotknął włosów Ramuzówny. Albert powiedział ze złością:

— A jeśli chłopak nie żyje?

— Sądzi pan, że...

— Nie wiem. Tak mi się powiedziało...

Krychniak dyskretnie całował włosy Ramuzówny. Jego wielka łysa głowa, połyskiwała różowo. Dziewczyna siedziała sztywno, jak sparaliżowana. Znikła czarnulka w długiej sukni, żona Krychniaka. Rozglądając się na wszystkie strony geometra wymykał się do hallu.

Adapter umilkł. Albert odprowadził majorową do fotela. Ramuzówna poczerwieniała i wykręciła się z ramion grubasa.

— A może panienko, on już jest na wolności?... — wabił ją Krychniak próbą tajemniczego uśmieszku.

— Nie wierzę — mruknęła. — Z waszych rąk nikt się nie wydostaje.

Krychniak poklepał swe grube uda.

— Pani nas przecenia. Zdarzają się ucieczki.

Wzruszyła ramionami. Majorowa przyniosła na tacy cztery pełne kieliszki.

— Wypijmy za uwolnienie Kurtmana — rzekła trącając kieliszek Krychniaka.

— Kurtmana? — powtórzył Albert zastanawiając się głośno. — Tydzień temu młody człowiek o podobnym nazwisku został zabity koło leśniczówki Graby. Dowiedziałem się o tym zupełnie przypadkowo. W Warszawie odwiedził mnie znajomy, który akurat mieszka niedaleko leśniczówki. Czy był to jakiś krewny pani?

— Narzeczony — powiedziała poruro majorowa. — To był narzeczony panny Ramuzówny.

Dziewczyna patrzyła na Alberta suchymi oczami. Grubas zgramolił się z poręczy fotela. Stanął obok Alberta, ujął go palcami za guzik marynarki.

— Ma pan ciekawych znajomych, przyjacielu...

Chciał jeszcze coś dodać, ale napadła go majorowa...

— Przecież leśniczówka Graby to pana rejon. Jak można mówić dziewczynie, że Kurtman siedzi w więzieniu, skoro go w lesie zabili?

Puścił guzik marynarki Alberta. Rozwścieczony wenchnął w kieszenie swoje grube dłonie.

— Pani się wtraca do nie swoich spraw. Ja dobrze mówiłem. Wczoraj twierdziłem, że Kurtman został osadzony w więzieniu w Warszawie. Uciekł, gdy z więzienia transportowano go na śledztwo. Chciałem to dziś powtórzyć pannie Ramuzównie. Nawet zrobiłem aluzję, prawda proszę pani? Nie wolno mi mówić wprost. Na litość boską, musicie pamiętać kim jestem.

Czoło mu się spociło. Otarł je chusteczką. Wypił duszkiem swój kieliszek wina. Rozejrzał się po hallu szukając wzrokiem żony. Nie było jej. Nie było także geometry. Zauważył to, bo aż poczerwieniał i jakby lękając się ataku apopleksji przycisnął ręką lewą pierś.

Majorowa truchcikiem pobiegła do kuchni. Albert skoczył do stołu po butelkę wina. Nalewając wino Krychniakowi pomyślał: „Ty bydlaku, chciałeś wciągnąć dziewczynę do łóżka, a potem dać jej do zrozumienia, że to ty dopomogłeś mu do ucieczki".

— Pan się źle czuje? — zapytał go łagodnie.

— Tak. Serce. — sapnął.

Ramuzówna zakryła twarz. Nie zwracali na nią uwagi.

Widmo śmierci uczyniło grubasa bardziej tolerancyjnym. Przyjmując kieliszek z rąk Alberta rzekł wyrozumiale:

— Ma pan ciekawych znajomych, przyjacielu... Proszę jednak być spokojnym. Nie interesuje się nimi.

Potraciła ich Ramuzówna. Chwiała się na nogach, włosy miała rozczochrane.

— Nie rozumiem. Wczoraj uciekł, a pan mówi, że tydzień temu go zabili?...

Krychniak wzruszył ramionami.

— Wczoraj otrzymałem informację. Ale uciekł rzeczywiście tydzień temu. Ten pan powiedział prawdę.

— Uciekł? Więc może żyje? — patrzała na nich błagalnie.

— Nic więcej nie wiem o tej sprawie — sucho powiedział Albert. — Może zginął podczas ucieczki?

— Nie — autorytatywnie oświadczył Krychniak. — Jeśli zginął, stało się to później. Bandy mają między sobą porachunki. Lękają się także, że naślemy im naszych ludzi. Zdezerterowało dwóch milicjantów, rozwalili ich, sądząc, że to nasi wysłannicy. To samo stało się z pięcioma dezerterami z wojska. Kto był w naszych rękach, traktowany jest przez podziemie jako „trefny", potencjalny agent. Tak się chyba stało i z Kurtmanem.

— Ach, rozumiem — uśmiechnął się Albert. — Panu nie wolno mówić wprost...

Majorowa przywiodła czarnulkę. Obciągała pomiętą suknię, miała krzywo pomalowane usta. Albert spojrzał na zegarek. Było wpół do dwunastej, za pół godziny powinien spotkać się z Mikołajem.

— Mógłbym panią odprowadzić do domu... — skłonił się Ramuzównie.

Dziewczyna kiwnęła głową Albertowi i poszła umyć zapłakaną twarz. Brydżyści zrobili przerwę w grze i ruszyli do stolika z ciastem i winem.

Majorowa wzięła Alberta pod rękę i szepnęła mu do ucha:

— On jest nienormalny. Boję się go.

— Kto?

— Ten architekt. Antyfeminista, rozumie pan? Nie zauważył pan jak podaje mężczyznom rękę, jak na nich patrzy?

Architekt był młodym mężczyzną niskiego wzrostu, blondynem, o okrągłej tłustej twarzy. Jego ruchy odznaczały się dziwną gracją, trochę nienaturalną żywością. Całował właśnie dłoń swej partnerki brydżowej.

— Przyprowadził tę panią. Chce we mnie wmówić, że to jego narzeczona. Maskuje się nią. Taka kobieta w żargonie pederastów podobno nazywa się „maskotka".

Architekt odwrócił głowę w stronę Alberta, uśmiechnął się. „Maskotka" mówiła coś szybko, przytakiwała głową. „Oni mówią o mnie" — zrozumiał Albert.

Teraz „maskotka" porzuciła architekta. Czekała na coś. Architekt podszedł do Krychniaka, w ręku błyszczała mu otwarta papierośnica.

— Czy można panu zadać niedyskretne pytanie?

Grubas przerwał kłótnię z żoną.

— Słucham pana — czerwono zalśniły jego przekrwawione oczy.

— Czy odnaleźliście angielskiego spadochroniarza? Całe miasto bębni o tym bez przerwy.

— Nie... Jeszcze nie.

— Interesujące. Przecież żywy człowiek, to nie igła w sianie?

Majorowa wbiła paznokcie w ramię Alberta. Krychniak zgarbił się wtulił głowę w ramiona. Z lewej strony miał przeciw sobie rozgniewaną grzeszną żonę, z drugiej — wścibskiego architekta.

— Znajdziemy go...

— Spadochroniarz przeszedł na pewno specjalne przeszkolenie. Zeskoczył tu zaopatrzony w cywilne ubranie, w broń, w pieniądze i w „lewe" dokumenty. Może już dzisiaj bawi w warszawskiej „Polonii"? Albo... — zachichotał zjawi się u nas w charakterze oficera Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego? Szukaj wiatru w polu.

Paznokcie majorowej paliły Alberta, jak żywy ogień. „Maskotka" bezczelnie gapiła się na niego. Usiadła na krześle i zakładając nogę na nogę zadarła sukienkę, aż po golizny ud ze strzałkami różowych podwiązek. Na Alberta patrzył również architekt Krychniakowa i dwóch panów od brydża. Krychniak mełł w ustach jakieś słowa, pocierał chusteczką potylicę. On jeden zdawał się nie rozumieć wymowy tych spojrzeń.

d. c. n.

Pan Tomek buduje domek

Można powiedzieć, że porzekadło to wypiera z obiegu swoje zaprzeczenie, zawarte w znanym wersecie imieninowej śpiewki: **„Przepijemy naszej babci domek cały"**. Świadczą o tym chociażby rozmiary kredytów udzielonych przez Bank Inwestycyjny oddział wojewódzki w Łodzi. Od roku 1958 mieszkańcy Łodzi i województwa łódzkiego zaciągnęli w tym bogatym, ale i wszechwładnym, jeśli idzie o kontrolę wszelkich inwestycji, banku pożyczek na łączną sumę 212,6 milionów zł. Suma ta rozkłada się na ponad 5.200 pożyczkobiorców, budujących domki indywidualnie i nie obejmuje np. członków zrzeszeń budowy domków jednorodzinnych. Limity kredytów na budownictwo indywidualne rosną z roku na rok. W samej Łodzi wyniosły one w roku 1960 — 10 mln. W roku bieżącym 1 mln. (253 kredytobiorców) a na rok przyszły — mimo trudności działkowych zaplanowano 19 mln. zł.

Któż to jest pan Tomek, który buduje w Łodzi domek? Ciekawe, że nie inżynier, nie lekarz, nie artysta, tylko robotnik, legitymujący się wraz z żoną pracującą w przemyśle pensją przeważnie nie większą niż 2.500 zł. Oczywiście, jak mówią wywiady, jest to nie robotnik zasiedziały, lecz przybyły ze wsi i wznoszący sadybę z działów rodzinnych.

Nikła reprezentacja inteligencji technicznej i twórczej w strukturze społecznej budujących domki tłumaczy się nie tyle jej awersją do „willowej" posiadłości i nabożeństwem dla mieszkań blokowych, ile lękiem przed gehenną, na jaką skazuje się budowniczy. Nie wystarczy bowiem mieć tzw. plac, wkład własny, ale trzeba zabezpieczyć sobie materiały i robociznę. Materiałów, zwłaszcza wykończeniowo-instalacyjnych wciąż brak (przynajmniej legalnie) a cena robocizny przekracza wszelkie wyobrażenia kosztorysowe. W tym roku np. dniówka murarska (plus wikt) dochodziła i do 500 zł. W trakcie budowy domku okazuje się, że cały kosztorys jest fikcją i prywatny inwestor staje w obliczu tzw. klapy. Klapę kładzie np. Bank Inwestycyjny, który ma prawo udzielać kredytu ratami, w miarę postępu robót, a skoro roboty odpowiednio nie postępują, po prostu kredyty wstrzymuje.

Wtedy jest lament, że budowa marnieje, bo brat nie spłacił działu, że to i owo. Okazuje się więc, że pan Tomek nie tak kraje jak mu własnych środków staje, lecz liczy wyłącznie na Bank. Co jest zasadniczym nieporozumieniem, jako że państwo **nie finansuje** panatomkowej przyjemności, lecz co najwyżej udziela mu pomocy na rozruch i na, powiedzmy, malowanie. Pan Tomek mniema odwrotnie. Niniejszym pragniemy pana Tomka wyprowadzić z błędu i radzić, że póki brat nie spłaci, niechaj poczeka lepiej z domkiem. Ponadto sygnalizujemy zmiany warunków kredytowania, jakie przynosi Monitor nr 75. Z ważniejszych zmian: działka budowlana nie może przekraczać 300 m²; dopuszczalny kredyt na budowę domku o powierzchni nie przekraczającej 71 m² — 100 tys. zł, o powierzchni od 71 do 85 m² — 50 tys. zł, domków powyżej 85 m² w ogóle nie kredytuje się.

ODGŁOSY tygodnia

Terpsychora z kompleksem

Dlaczego właściwie ludzie nie umieją tańczyć, a tańczą — męcząc tych co umieją? Kto choć raz widział kobietę ze wzrokiem umierającej gazeli, tkwiącą w ramionach depczącego nie w rytm osobnika — zadaje sobie to pytanie do końca życia. A odpowiedź jest prosta:

Primo: nieumiejętność tańczenia traktuje się u nas trochę jak wstydliwą chorobę -- rzadko kto zgłasza się po poradę z własnej woli, rzadko kto szczerze wypomni jego braki. Do bohaterskich wyjątków należy pewna pani, która zapytała tańczącego z nią mężczyznę: „lubi pan tańczyć?", a usłyszawszy odpowiedź — „tak", dodała: „to dlaczego się pan nie nauczy?"

Secundo: naukę tańca można zaliczyć do tak zwanych wenemenentów. W 700 tys. Łodzi odbywa się ona dla dorosłych jedynie w szkole Cyrulskiego (prywatnie) i ma się rozpocząć w Międzyzakładowym Domu Kultury zwanym „Pajęczynka" przy ul. Siedleckiej 1 (państwowo). Dla młodzieży szkolnej z klas 8 i 11 (dlaczego akurat ci należą do wybrańców? — nie wiemy) — w MDK.

Kiedyś uczył tańczyć Łódzki Dom Kultury. Dziś nie ma dla tańczących miejsca, choć chętnych jest do diabła i trochę — informuje dział artystyczny. Kiedyś miał włączyć się do tanecznej akcji ZMS. Nie włączył się. Pan Cyrulski jak nie da „ogłoszenia za ogłoszeniem, to leży"... MDK bierze 80 zł. za 6-tygodniowy kurs, bo Ministerstwo nie przydzieliło etatu dla instruktora tańca i trzeba go opłacać własnym przemysłem.

Tertio: brak propagandy tanecznej. Niegdyś nawet Lucer się nią zajmowa: **„tańce są po to, aby ludzie uczyli się uprzejmości w towarzyskim obcowaniu, aby chłopcy i dziewczęta mieli okazję do zawierania znajomości i przyjaźni"** — mówił. Dziś jedyną bodajże taneczną pozycją jest książka M. Wieczystego z 1958 r. (20 tys. nakładu), w której czytamy **„nauka tańca wyrabia poczucie rytmu, umuzykalnia, rozwija wyczucie harmonii i piękna ruchu, wpływa na koordynację całego ciała... Propaguje umiar, prostotę, estetykę..."**

Polska Terpsychora ma kompleks nieprzydatności społecznej. Trzeba ją z niego wyleczyć.

Każdy ma swojego szczura

Wyraźnie nie grozi Łodzi żadne niebezpieczeństwo, bo szczury nie uciekają, lecz przeciwnie, garną się na zimę setkami tysięcy do ciepłych piwnic i magazynów w mieście.

Zakład Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji zapowiada na okres od 18 listopada do 2 grudnia ogólnołódzką wojnę ze szczurami. Przygotowano 100 tysięcy smakowitych porcji „Kumaderu" — owsa, zatrutego takimi związkami chemicznymi, które nie zagrażają życiu zwierząt domowych i drobiu.

Łódź, niestety, jest ciągle jednym z najbardziej zaszczurzonych miast w kraju. Utarło się powiedzenie, które doskonale zastępuje dane statystyczne: „Każdy łodzianin ma swojego szczura". Ostatnio z roku na rok ilość szczurów zmniejsza się, ale walka z plagą nie jest łatwa, bo jedna para symbiotycznych gryzoni wydaje rocznie około 1000 sztuk potomstwa.

Szczury dokonują ogromnych spustoszeń w magazynach przemysłowych i żywnościowych, w prywatnych komórkach z zapasami, ale mają one i swoją rolę „pozytywną" — nie pozwalają na samouspokojenie. Tyle się pisze o efektach porządkowania miasta i ofiarności społeczeństwa w tym zakresie, a tu nagle wyłażą szczury. To musi nas mobilizować, obywatele!

Służbowy nietakt

Niespełna dwa tygodnie temu w Poddębicach przed „Barem nad Nerem" zatrzymał się o zmierzchu wóz bojowy straży pożarnej. Wysiedli z niego panowie w granatowych uniformach i udali się do wnętrza baru. Cel wizyty nie mógł być profesjonalny, bo w barze nic nie trzeba było gasić. Cośkolwiek zaczęło nam świtać dopiero, kiedy po kilku głębszych jeden z panów podszedł do telefonu i wezwał do baru naczelnika miejscowej straży, czyniąc mu jednocześnie łagodne wyrzuty, że nic nie wie o ich przyjeździe. Naczelnik przybył, stanął na baczność, został zaproszony do stołu i gorzenie (pragnienia, zmartwień itp.) potoczyło się dalej.

Ta forma kontroli zrobiłaby na nas w pełni miłe wrażenie gdyby nie fakt, że zapomniano o kierowcy, skazując go niehumanitarnie na marznięcie w szoferce.

Grzeczność i spryt

Teatr Nowy, jako jedyna bodaj tego rodzaju placówka, usiłuje wychować swoich widzów. Ostatnio obserwowaliśmy w takiej akcji bileterki Małej Sali. Po zgaszeniu świateł w odpowiednim momencie padła uwaga: „Prosimy nie przesiadać się do bliższych rzędów!" W czasie przedstawienia pewna pani, która zbyt głośno rozwijała szeleszczące cukierki, została delikatnie skarcona. Wreszcie po zakończeniu spektaklu drzwi sali pozostały zamknięte tak długo, aż kurtyna zapadła po raz ostatni i ucichły brawa. Jeżeli ktoś wcześniej chciał „wyrwać" do szatni, odpowiednia uwaga wiązała go z powrotem w fotel.

Idea jest szlachetna i realizowana z wdziękiem. Na tym wszakże nie kończy się „edukacja teatralna". Jeżeli widz chce kupić program przedstawienia, dostaje go, ale tylko wraz z biuletynem PTN, za 5 złotych. Biuletyn (notabene zwykle spóźniony) kosztuje zł. 4, a program zł 1.

W ten sposób, za jednym zamachem, Teatr Nowy zaszczepia w swoich widzach wszystko, co w życiu najważniejsze — grzeczność i spryt.

Kupony dla... Guliwera

Przemysł wełniany przygotował dla klientów nie lada „niespodziankę": kupony na ubranie — 3 metry i 40 centymetrów każdy. Nie pomaga błagalna mina ani logiczny wywód kupującego, że jak świat światem pod wszystkimi szerokościami kuli ziemskiej na garnitur męski wystarczy 2 m. 80 cm., no — najwyżej 3 metry tkaniny znormalizowanej szerokości.

— Albo pan weźmie cały kupon albo wcale — odpowiada ekspedientka i klient najczęściej... nie bierze.

W zastawione przez przemysł wełniany na klienta sieci wpada... sam producent.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Anatol Kobyliński

Z SĄDU

Zaopatrzeniowe machinacje

Kierownik zaopatrzenia Wytwórni Sprzętu Sportowego w Łodzi kupował chemikalia, materiały biurowe, odzież ochronną w tych sklepach gdzie miał tzw. „bratnie dusze" m.in. w sklepie Argedu i w Domu Książki. Zagadka polegała na tym, że sklep formalnie sprzedał, chociaż w rzeczywistości towar pozostawał na półkach, a kierownik sklepu otrzymywał z Wytwórni należność i dzielił się nią z kierownikiem zaopatrzenia. Towar zaś sprzedawano komu innemu, aby mieć pokrycie w rachunkach kasowych.

Kierownik zaopatrzenia jednej z większych łódzkich fabryk wpadł na inny pomysł: formalnie zakupywał odzież ochronną I gatunku, w rzeczywistości zaś robotnicy otrzymywali z rąk zaopatrzeniowca odzież najtańszą i najgorszą. Uzyskana różnica w cenie zasilała kieszenie zaopatrzeniowca i kierownika sklepu.

Ciemne kombinacje na różnicach rachunkowych po trosze należą już do „bontonu" kombinatorów, bo np. kierownik zaopatrzenia ZPB im. Obrońców Westerplatte kupował noże do frezarek — zmieniał tylko nazwę w fakturze — a uzyskane w ten sposób różnice w cenie noży szły na zaspokojenie wielkopańskich ambicji p. kierownika.

Koleje losu takimi już chodzą drogami, że po dniach tłustych następują chude.

Ciiiicho — tajemnica: Klub Czterech

Może nas za to powieszą... może się tylko obrażą... Trudno, zdradzimy tę tajemnicę. Tajemnicę jedynego, oryginalnego, pasjonującego Klubu Czterech.

„Umowna nazwa Klub Czterech powstała stąd, że w maju 1959 r. czterech łodzian spotkało się po raz pierwszy w tym składzie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, ażeby nieoficjalnie porozmawiać na tematy życia kulturalnego Łodzi i jej regionu" — głoszą założenia Klubu.

Od tego czasu profil Klubu nieco się zmienił. **Po pierwsze:** spotkania nie odbywają się już w KMPiK, ale w „Grandce". Po drugie: przy kawie (i ciastkach) rozważa się nie tylko łódzko — kulturalne problemy, ale i światowe. **Po trzecie:** czterej założyciele, jako że są to ludzie towarzyscy i nie sobki myślowe, dopuścili do rozmów kilku innych, którym przestała wystarczać dyskusja o pogodzie i zdradach małżeńskich w kręgu najbliższych „przyjaciół".

Trzon Klubu, ci czterej: to znany w Łodzi historyk, działacz społeczny i osobistość z władz miejskich (dlatego boimy się, że nas powieszą), inżynier, który poza chemią miłuje literaturę i poza probówką bierze do ręki pióro (pisał nawet swego czasu w „Odgłosach"); znany i uznany plastyk i jeszcze jeden chemik — młody, przystojny, zdolny... do wszystkiego.

Wokół Klubu grupuje się poza tym kilku inżynierów z Łódzkiego „kolorowego" (dosłownie) Instytutu, z których każdy ma jakieś poza zawodową specjalnością umiłowanie — a to języki, a to astronomię i lubi pasjami „wymieniać poglądy"; pracownik archiwum — doktor, który zna Łódź jak własną kieszeń; przychodzą „za zaproszeniemi" — czasem malarz, często literat a i prawnik się trafi.

Ostatnie zebranie „traktowało" o Kubie, skąd wrócił jeden z klubowców. Następne — pewnie znów o Łodzi. Zasiądą w „Grandce" przy „swoim" stoliku i rozpoczną nie obowiązującą, nie oficjalną, nie przymusową, nie konferencyjną, nie podsumowując rozmowę...

Tak nam miło, jak ludzie mają pomysły, jak potrafią się oryginalnie „rozerwać", jak chemicy pasjonują się literaturą, inżynierowie — plastyką, a historycy — astronomią... Że musieliśmy wypaplać... Przepraszamy „czterech", może nam darujecie?!

Takie buty!

Na jednej z konferencji przedstawicieli Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego i Centralnego Zarządu Handlu Obuwiem wyszły na jaw zgoła sensacyjne fakty. Okazało się, że co druga prawie para obuwia dostarczana przez nasze fabryki obuwnicze na rynek posiada usterki jakościowe!

Dowodzą tego dane liczbowe z ostatnich 8 miesięcy br. Podczas kiedy w roku 1960 ilość reklamacji handlu hurtowego w sprawie niskiej jakości obuwia nie przekraczała 30 proc. ogólnej ilości dostaw, to od stycznia do września br. reklamacje te przekroczyły 40. proc dostarczonej w tym okresie masy obuwia.

Z powodu niezadawalającej jakości obuwia handel uzyskał w roku ubiegłym od przemysłu 3.700 tys. zł, tytułem kar, zaś w pierwszym tylko półroczu br. — 3.500 tys. zł.

Co gorsza wśród reklamowanego obuwia poważny procent to buble, które trzeba było przekazać do przeceny.

Ładne buty! Nie ma co.